Nr. 4. Warszawa, dnia 16 (28) Stycznia 1899 r. Rok XIX.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ: POLITYKA: Anglia i Francya. — Listy z Paryża, p. H. — Tydzień polityczny. — ODCINEK: Oliwia Schreiner: Sen w ciemną noc (c. d.). — ŻYCIE SPOŁECZNE: Tani sposób. — Stosunki społeczne w Księztwie Poznańskiem w świetle statystyki, IV, p. Dr. **J. B.** Marchlewskiego. — Choroba świata, p. Zenona Pietkiewicza. — FEJLETON: Liberum veto, p. Posła Prawdy. — BADANIA NAUKOWE: Rodowód świat. II. p. Lud. Krz. — LITERATURA I SZTUKA: Literatura angielska, p. dr. L. Winiarskiego. — Przegląd muzyczny, p. Ig. Pileckiego. — POLEMIKA: Ofiara prawdy, p. dr. Mieczysława Kaufmana. — W dali. — Kronika. — Odpowiedzi Redakcyi. — Ogłoszenia.

POLITYKA.

Anglia i Francya.

Rozprawy, które od poniedziałku toczą się we francuskiej Izbie deputowanych, przyniosły już w samych telegramach sporo momentów logicznych zwracających na siebie myśl publicystyczną. Nacierający na rząd Destournelles, zalecił mu porozumienie się we wszystkich sprawach spornych z Anglią i zgodne nadal postępowanie z sąsiadką północną, tak we wzajemnych stosunkach, jako też na wielkiej międzynarodowej widowni dziejów. P. Ribot, były minister francuski, specyalista od produkcyj scenicznych rzeczypospolitej na tej właśnie widowni, poparł tezę deputowanego i również zgodność działań, zbliżenie się, porozumienie trwałe anglo-francuskie uznał za potrzebne dla samej Francyi. Kiedy „Liga ojczyzny francuskiej,“ z duszą bardziej etyczną, niż polityczną, odświeżyć chce wyblakły już w sercach francuskich obraz Alzacyi; kiedy rozmaici radcy narodowi, wprost przeciwnie, pchają naród do zupełnego wyrzeczenia się odwetu; kiedy imperyaliści w *Autorite* dowodzą, że nie Niemcy, ale Anglia jest głównym wrogiem Francyi — owe głosy, mimo silnych starć, odważnie odzywające się w sejmie, nie powinny przebrzmieć bez echa — choćby tylko w umyśle krytycznym.

Tezę stawianą obecnie podczas rozpraw nad budżetem przez rozsądek, a może i rozum polityczny, dalej od rozsądku widzący, rzadko stawiała zewnętrzna rzeczywistość. Od strasznej bitwy pod Bouvines oba państwa wtłaczane dziś w zgodę i jedność, daleko częściej rozdzielała nieprzyjaźń. W XIII i XIV w. całe sto lat wrzała wojna zaciekła o prawa dynastyczne, o sukcesye, posagi i zapisy pod postacią całych prowincyj ze wszystkiem, co żywego i martwego w sobie miały. W XVI w. wewnętrzne przewroty pochłaniały energię angielską i pod koniec dopiero wyzwolił ją na nową walkę. W XVII w. po ciszy Stuartów nastały wojny Ludwika XIV o Niderlandy, o reformacyę i katolicyzm, o prawa pretendentów, o sukcesyę hiszpańską, o ten wiatr wreszcie, który nawiał na Europę klęski wojny siedmioletniej. Walczono w Ameryce o Kanadę, walczono w Europie o Prusy, o ich przyszłość Gdy w Paryżu wybuchła wielka rewolucya, w Londynie ujrzano w niej wroga. Pierwszy manifest księcia Brunświckiego skłonił zwolna Anglię do walki. Podbój Niderlandów, pomoc dla Irlandyi, wyprawa do Egiptu, rozsrożyły ją jeszcze, nie dały płomieniom zagasnąć.

W wojnach z Napoleonem Anglia była duszą trzech koalicyj. Można powiedzieć, że przez lat dwadzieścia, z krótką przerwą po Amiens oba mocarstwa i oba narody walczyły z sobą na noże. Nienawiść religijna, społeczno-organizacyjna, polityczna — całe gniazda nienawiści konkretnych i zasadniczych, historycznych i umysłowych, wzmogły się jeszcze nienawiścią plemienną, która wykluła się była jeszcze za Edwarda III. Kiedy powalono olbrzyma, który świat złudzeniem szczęścia unieszczęśliwiał, a krew z żył tocząc, w dusze siał epopeję — Anglia wzięła go do swego więzienia i przyjęła od niego ostatnie tchnienie. W trzydzieści lat dopiero po jego skonie miał być do budowy dziejów dopuszczony nowy duch — zespolenia się i łączności, a stało się to dzięki Napoleonowi III. Za drugiego Cesarstwa przez lat piętnaście oba mocarstwa zachodnie miały wspólną co do kierunku, choć nie co do mety, politykę międzynarodową, bo zgadzały się nawet w nieżyczliwej postawie wobec wielkiej rzeczypospolitej amerykańskiej, wobec broniącej jej praw Północy. Dzięki temu zespoleniu się, dalekiemu wprawdzie od doskonałości, ale rzeczywistemu, istniał politycznie Zachód Europy, a istniał w tem znaczeniu i z taką doniosłością, że kiedy po r. 1870/1 już go nie było, Gambetta mógł nie dla frazesu tylko zawołać: *Il n'ya plus d'Europe.*

Ten rok 1870/1 sprowadził przełom w stosunkach, których zawiązanie stanowi jedyną może jasną stronę polityki i dyplomacyi małego synowca wielkiego stryja. Po egoizmie biernym, obronnym, który kazał zaprzeć się Francyi, ocknął się w Anglii egoizm czynny, zaborczy, drapieżny, a rozzuchwaliła go tunetańska impreza Gambetty, spotęgowały zorganizowane kolonizacyjne apetyty plemienia aryjskiego na całą kulę ziemską. Obecne naprężenie przy przeszłorocznych, tak świeżych jeszcze, przygotowaniach wojennych — Faszoda, Madagaskar, Newfoundland, Egipt — jaskrawo pokazują całą wątłość życia tej nadziei, którą ocucający się rozsądek polityczny Francuzów wydał z siebie raczej dla samego siebie, dla myśli, dla wewnętrznej, niż dla zewnętrznej rzeczywistości. Wszystkich tych zapędów nieprzyjaźni logiczniejszą syntezą jest wojna, niż współdziałanie, choćby najskromniejsze. Wśród tych wielkich przeobrażeń, które zapowiada p. Delcassé, minister francuski spraw zagranicznych, nie będzie przymierza anglo-francuskiego. Byłoby ono samo przez się już wielkiem przeobrażeniem; jako skutek czy jako przyczyną od pojęcia tego oderwać się nie daje: i ta właśnie jego ważność wydziera mu jeszcze na długo — prawdopodobieństwo.

LISTY Z PARYŻA.

Zmiany w stosunkach Francyi do państw Zachodu. — Znaczenie ekonomiczne i polityczne francusko-włoskiego traktatu handlowego.— Francya i Niemcy. Czy odgrażanie się Anglikom jest powszechne?

Pewien dziennik rzymski doniósł w początkach listopada roku zeszłego, że dawnemu prezydentowi gabinetu ministeryalnego we Włoszech, Rudiniemu, i dawnemu ministrowi finansów, Luzzattiemu, polecono zawrzeć w Paryżu ugodę handlową między Włochami i Francyą. Według zapewnień dziennika, rokowania brały obrót pomyślny i doprowadzenie ich do końca było rzeczą tylko kilku tygodni.

Osobliwie we Włoszech wiadomość ta wywarła bardzo dobre wrażenie. Poczęto ją już oceniać, gdy wtem napół urzędowe oświadczenie zbiło ją. Doniesiono, że podróż Luzzattiego i Rudiniego do Paryża miała charakter ściśle prywatny, że ani jednemu, ani drugiemu nie dano zleceń i że wogóle pogłoski o jakiejś umowie włosko-francuskiej są urojone.

Zaprzeczenie było tak stanowcze, że uwierzono mu. Jednak rzeczy miały się inaczej. Istotnie, Francyi i Włochom dokuczyła dziesięcioletnia wojna celna i dwaj sąsiedzi pragnęli zgody. Być może, że niepewność, czy pogodzenie rzeczywiście nastąpi, podyktowała Humbertowi jego przeczącą deklaracyę.

Dość, że dziś francusko-włoska ugoda handlowa jest faktem dokonanym. Nie przeszła ona jeszcze wszystkich zatwierdzeń, ale powitano ją tak życzliwie w obu państwach, że przyjęcie jej jest pewnikiem. Ustanowi ona bodaj że najważniejszy wypadek w życiu zewnętrznem Francyi i Włoch z ostatnich tygodni.

Ma znaczenie nietylko ekonomiczne, ale i polityczne. Oświadczono to jednogłośnie we Francyi, we Włoszech zaś stała się hasłem przeciwników Crispiego.

Wojna celna między Francyą i Włochami zaczęła się w r. 1888. Skutki ujawniły się bardzo szybko. Dowóz towarów włoskich do Francyi zmniejszył się przeszło o połowę; to samo stało się i z dowozem towarów francuskich. Włosi sprzedawali w r. 1887 za 307 milionów, w 1888 za 181, w 1897 za 132 miliony. Francuski zbyt na półwyspie Apenińskim wynosił w r. 1887 326 milionów, w 1897 mniej, niż połowę, bo 160,833,000.

Tracili więc Włosi, traciła i Francya. Sprawy handlowe przyczyniły się do rozdmuchania zarzewia niezgody między obydwoma państwami, zwłaszcza że wypadków, które prócz nich mogły dawać jednemu lub drugiemu powód do skargi, nie brakło. Weźmy choćby pamiętny proces w Aigues-Mortes, gdzie uniewinniono robotników francuskich, jakkolwiek zabili w bójce kilkudziesięciu Włochów. W parę lat później zastrzelenie dwóch myśliwych francuskich na terytoryum włoskiem było niezupełnie przypadkowem. Prasa także podszczuwała.

Mała tylko ilość ludzi niezaślepionych starała się godzić zwaśnionych sąsiadów. Zabity w roku zeszłym przez Macolę Feliks Cavallotti należał do nich. Założyli oni t. z. Ligę francusko-włoską i ich przedstawienie rzeczy, ich działalność w kierunku zbliżenia Francuzów i Włochów wywołały niewątpliwie duży wpływ na zawarcie mniejszej umowy.

Zniżenie ceł otwiera ponownie winom włoskim szeroki rynek, Francuzi zaś liczą głównie na sprzedaż wyrobów fabrycznych. W ciągu ubiegłego dziesięciolecia zajęli ich miejsce po części przemysłowcy lombardzcy, więcej jeszcze przedsiębiorcy niemieccy. Stąd boczenie się Niemców na ugodę. We Francyi tylko winiarze patrzą na nią krzywo. Przemysł jedwabny w Lyonie, który wydawał się początkowo zagrożonym, obwarowano obecnie, zostawiając dla jedwabnych wyrobów włoskich cło dawne.

Wrażenie, jakie umowa wywarła po za temi kołami, jest bardzo dobre. Wszyscy zgadzamy się — pisze ogół dzienników francuskich — że ma ona duże znaczenie polityczne i wszyscy jesteśmy z niej zadowoleni pod tym względem. Dzienniki włoskie oceniają sprawę jeszcze radośniej. Luzzatti odbiera nieustanne podziękowania od licznych towarzystw przemysłowych, handlowych i robotniczych, izby handlowe podają nowe pomysły ściślejszego zbliżenia dwóch krajów. Szczególnie niektóre prowincye odniosą prawdziwe korzyści ze zmiany stosunków. We Włoszech może najwięcej Kalabrya. Większość tamtejszej ludności żyje z hodowli fig, oliwek, pomarańcz, winnej latorośli i owoców. Do r. 1888 wysyłali Kalabryjczycy wielką ilość wszystkich tych produktów do Marsylii; od początku wojny celnej wywóz spadł ogromnie. Teraz znowu cała prowincya ożywiła się i rokuje wielkie nadzieje.

Z dzielnic francuskich bardzo gorąco powitał ugodę Tunis. Radość staje się zrozumiałą, gdy zważymy, że osadnicy tunetańscy są w znacznej części pochodzenia włoskiego.

Wpływając niepoślednio na układ politycznych stosunków francusko-włoskich, umowa osłabia trochę „życzliwość" Niemców, którzy w ostatnich czasach poczęli korzystać z nieporozumień między Francyą a Anglią i wdzięczyć się do pierwszej. Rozmowy, jak ta, którą miał niegdyś Eugeniusz Wolff z korespondentem *Eclair*, albo poseł do Rady państwa, Otton Arendt, z redaktorem *Evénement* (każdy dowodził konieczności złączenia się Niemiec i Francyi przeciw Anglii), dziś już umilkły. Sojusz więc francusko-niemiecki należy na razie do marzeń.

Zresztą chociaż niesnaski między Anglią a Francyą nie ustały, to jednak od jakiegoś czasu znacznie złagodniały i straciły cechy niepokojące. Istnieją do dziś spory o granice lub o zakres wpływu w Afryce, współzawodnictwa w Chinach, wreszcie zatarg o prawo połowu na wodach w bliskości Nowej Fundlandyi i Kanady, o prawa korzystania z wyspy Św. Piotra, leżącej na południu od N. Fundlandyi. Wyspa ta ma znaczenie wojskowe, może bowiem przecinać, a przynajmniej bardzo utrudniać komunikacyę między Anglią a Kanadą. To też obwarowanie jej i połączenie telegrafem podmorskim z Francyą było dla Albionu wcale niepożądanem.

Że jednak sprawa ta zostanie pomyślnie załatwioną, nie ulega wątpliwości. Obok krzykaczy bowiem, którzy na słowo: Anglik — rozogniają się jak indyk na widok czerwonej barwy (zresztą bezinteresowność tego zapału jest bardzo wątpliwą), są we Francyi ludzie poważni i roztropni, którzy oceniają stosunek francusko-angielski ze stanowiska rozsądniejszego.

Zwłaszcza tak zwani *libertaires*, zwycięzcy morałem sztabu generalnego i obrońców nieprawidłowego sądu, protestują stale przeciw jątrzeniu niezgody między Anglią i Francyą.

Jeden z najwybitniejszych pomiędzy nimi, autor głośnej książki „L'armée contre la nation," Urban Gohier, kilkakrotnie zabierał głos w tej sprawie. Rządy francuski i angielski — dowodzi on — podtrzymując niesnaski, działają bardzo niezgodnie z interesami ich krajów. Kłótnie o terytorya, do których żaden wieśniak francuski nie wyemigruje i gdzie nawet biedni żeglarze francuscy nie mogą zatrzymać się, aby nie uledz zdziesiątkowaniu, są wodą na młyn

---

3) Oliwia Schreiner.

SEN W CIEMNĄ NOC

(przekład z angielskiego).

Mnóstwo śladów zauważyłem na bliższym moście (był on szerszy, niż drugi) i spytałem, czemu po nim właśnie tyle ludzi chodziło.

— Most ten — odrzekł mi Duch — wiedzie na niższe stopnie i nie jest tak stromy, jak inne.

Zauważyłem, że ślady wielu ludzi szły wstecz i zapytałem co by to znaczyło.

— Kto się raz wzniósł do nieba, ten nigdy już nie wraca na ziemię, ale niektórzy, doszedłszy do środka mostu, zaczynają się namyślać, wątpić i obawiać, czy droga ta doprowadzi ich do spokojnej przystani, i cofają się.

— A z nieba nikt nie powrócił?

— Nikt i nigdy.

I Duch powiódł mnie przez most. A skoro doszliśmy do jednej z bram nieba—gdyż do nieba prowadzi wiele podwoi i wszystkie są wiecznie otwarte—spojrzałem w górę, lecz brama tak była wysoka, że dojrzeć jej szczytu nie mogłem. Niebo wydało mi się nieskończenie wielkiem. Aby jednak przekonać się w zupełności, spytałem:

— Co jest większe: niebo czy piekło?

— Piekło jest równie wielkie, jak i niebo, lecz niebo jest wyższe i głębsze. Może ono pochłonąć piekło, lecz nawzajem przez nie pochłoniętem być nie może.

I szliśmy dalej po tem milczącem państwie bez granic. Z obu stron wznosiły się góry, a wszystko było opromienione jakiemś czarująco miękkiem, bladem światłem; zauważyłem, że światło to wydawało kamienie i skały. A gdy spytałem Ducha, skąd to pochodzi, nie odpowiedział. Patrzyłem więc tylko i dziwiłem się, albowiem wystawiałem sobie niebo zupełnie inaczej. Po chwili rozjaśniło się tak, jak się rozjaśnia ranek przed jutrzenką; zachwycony myślałem, że to słońce wschodzi.

— Nie — rzekł Duch — zbliżamy się do miejsca, gdzie są ludzie.

I czem bliżej podchodziliśmy, tem stawało się jaśniej. Na skałach rosły przepiękne kwiaty, po obu stronach drogi kwitły wszystkie drzewa, zewsząd biegły wesoło strumyki i rozlegał się śpiew cudny, niby szczebiotanie ptasząt. Nie widząc ich jednak, spytałem, skąd się ten śpiew rozlega.

— To ludzie tak się nawołują wzajemnie.

Nareszcie gdyśmy podeszli jeszcze bliżej, ujrzałem ludzi; byli oni nadzy, i ciała ich świeciły. Spytałem Ducha, czemu oni nie noszą ubrania.

— Ciała ich wydają blask, nie chcą więc oni go tłumić.

— Cóż robią? — spytałem.

— Oświecają rośliny, aby te rosły i kwitły.

Zauważyłem, że pracowali oni to grupami, to pojedynczo, ale najczęściej parami: dwie kobiety lub dwóch mężczyzn, a jeszcze częściej kobieta i mężczyzna razem. Duch objaśnił mnie:

— Gdy kobieta i mężczyzna świecą razem, otrzymuje się najdoskonalsze światło. Ale w niebie rośnie wiele roślin, i każda z nich wymaga odrębnego światła.

Z jednej grupy oddzielił się człowiek i poszedł ku nam; gdym spojrzał na niego, wydało mi się, żeśmy z nim razem bawili się, będąc dziećmi, i żeśmy rówieśnicy. Wyraziłem Duchowi, com uczuł.

...rawdziwych nieprzyjaciół Europy i cywilizacyi.

Nie idzie o to, czy Anglicy są „sympatyczni," czy nie. Ich patryotyzm, ich energia i poszanowanie wolności czynią ich godnymi szacunku. Powtóre, inne względy nakazują liczyć się z Anglią. Kupuje ona we Francyi najwięcej ze wszystkich narodów. Wywóz towarów francuskich do Anglii wynosił w r. 1896 miliard 370 milionów; do Rosyi zaś np. tylko 280 milionów. Tak więc „wiarołomny Albion" — jak mawia p. Déroulède — pozwala Francyi wytwarzać i podtrzymuje jej handel.

Innym powodem równie ważnym, który nakazuje krzykaczom zaprzestać odgróżek jest wadliwość marynarki francuskiej. Sześć miliardów wyrzuconych w ostatnich dwudziestu pięciu latach, nie zdołało wytworzyć nawet średniej floty, tak że okręty francuskie nie mogłyby — zdaniem samych ministrów marynarki — zmierzyć się nawet z flotą japońską.

Wreszcie, dowodzi Gohier, dziwnem jest rozumowanie tych przeciwników Anglii. Są wszyscy odwetowcami, grożą nieustannie pięścią Wilhelmowi II, a przecie działają na jego korzyść. Najniebezpieczniejszym współzawodnikiem Niemiec, na morzu i w handlu, jest Anglia. Rozwielmożnianie się Niemców we wszystkich częściach świata popędza ich do zatargu z nią. Otóż niemądra walka Francyi z Anglią jest świetną gratką dla państwa, które „boi się tylko Boga."

„Trzyma ono nas w rękach, nasyłając nam swoich bankierów, zalewa nas już wskutek naturalnego prawa, które popycha ludzi z kraju przeludnionego do innego, wyludniającego się. Nie zrażajmy sobie przeto jedynego narodu, którego przyjaźń może być dla nas pożyteczną, z powodu jakichś pustyń i odłogów zamorskich i nie ułatwiajmy tem samem zwycięztwa ekonomicznego i politycznego Niemcom."

Wywody te, ponawiane kilkakrotnie w *Aurore*, znalazły posłuch w kołach dzisiejszej młodej opozycyi. Gdy dużo mówiono o Faszodzie, inny dziennik „libertaires'ów", „Wola" (*La volonté*), wystąpił również gorąco przeciw wojowniczym instynktom. Wiktor Augagneur pisał tam:

„Wojna Francyi z Anglią byłaby zbrodnią względem cywilizacyi. Owe dwa narody ogniskowały zbyt długo rozwój umysłowy, aby klęska jednego z nich nie była zarazem srogim ciosem, zadanym postępowi. Patrzmy raczej, czy ci, co podburzają nas dla drobnej Faszody, nie mieliby jakiej korzyści dla siebie z krwawego starcia? Jest rzeczą pewną, że klęska wywołałaby tylko zaburzenia i osłabienie wielce pożądane dla licznych francuskich „pretendentów."

W końcu ludzie, co mieli możność przez długi czas stykać się z Anglią na pograniczu indyjskiem, a w szczególności J. L. Lanessan, dawny namiestnik Tonkinu, rozumują tak samo. Organ Lanessana, *Le rappel*, porusza sprawę ze stanowiska pokrewnego, a w jednym z ostatnich numerów redaktor bardzo surowo ocenił krzykaczy ex-bulanżystowskich.

Uwydatnił on wszystkie okoliczności, w których ścierają się interesy Niemiec i Francyi, potem podkreślił doniosłość dla ostatniej dobrych stosunków z Anglikami i zakończył:

Od stu lat żyjemy z Anglią w spokoju, sprzedajemy jej corocznie niemal za półtora miliarda towaru i jakie pół miliarda zostawiają we Francyi przejezdni synowie Brytanii. Niemcy dwadzieścia osiem lat temu wywoławszy za pomocą kłamstw i fałszerstw wojnę, zabrali nam dwie prowincye, pięć miliardów i życie tysięcy naszych dzieci. Nietylko że nic od nas nie kupują, ale jeszcze współzawodniczą z nami na naszych własnych rynkach. I z Anglikami każą nam bić się, a z Niemcami zawierać sojusz!

Czy wobec tego nie wolno zapytać, ażali jaki obłęd nie opanował mózgów, zalecających tak śmieszną i tak nienawistną politykę? *B.*

Tydzień polityczny. D. 17 b. m. francuska Izba deputowanych przystąpiła do rozpraw nad budżetem. Pelletan krytykował zły zarząd kolonij, pochłaniający nadmiernie (80 mil. fr.) fundusze ze skarbu państwa. Rozprawy nad wydziałem spraw zagran. rozpoczęły się od interpelacyi Destournelles'a o Faszodę. Od r. 1894 Francya — według niego - popełnia same błędy; interes jej wymaga zgodnego postępowania z Anglią. Ribot, podzielając to zdanie, twierdził, w ogólniejszym poglądzie na przymierza Francyi, że cel *alliance* rosyjsko-francuskiej jest jak najściślej pokojowym; z zespolenia się tego wynikło już dotychczas zbliżenie się Austryi do Rosyi, a Francyi do Włoch (traktat handlowy z r. 1898). Minister Delcassé bronił rządu: W sporze między Ameryką a Hiszpanią działanie Francyi zaszczyt jej przyniosło. Francya pierwsza pochwyciła myśl rozbrojeń. Uczyniła to przez cześć dla Najjaśniejszego Cesarza Wszechrosyi, stojącego na czele narodu, z którym jedność nigdy nie była doskonalszą, niż obecnie; uczyniła też w przekonaniu, że nigdy od niej nie zażądają nic takiego, coby mogło być dla niej uwłaczającem. Na wschodzie (w Syryi) opieka Francyi nie doznała uszczerbku. W sprawie Faszody Anglia odrzuciła cywilizacyjne współdziałanie Francyi. Nakazując opuszczenie Faszody, Delcassé zrobił ciężką ofiarę ze swych uczuć. Opór byłby złowrogim dla świata, na którym przygotowują się wielkie przeobrażenia.

Esterhazy — rzecz prawie niesłychana w dziejach sądownictwa nowożytnego, i to jeszcze w kolebce nowego życia, we Francyi—otrzymał od rządu francuskiego glejt i za tym glejtem przyjechał do Paryża, gdzie go już sąd kasacyjny przesłuchiwał. Śledztwo rozciąga się obecnie na dokumenta urzędowe min. spr. zagr. Przesłuchano już najważniejsze osobistości, nawet b. ministra Hanotaux. Świeżo zawiązana Liga Ojczyzny Francuskiej domaga się osądzenia sprawy Dreyfusa przez wielki komplet sądu.

D. 17 b. m. zebrała się Rada państwa w Wiedniu. Niemcy hałasowali, ale ciszej, niż poprzednio. W dniu interpelacyjnym odczytano żądanie jednego z patryotów berlińskich, aby z pociągów kolei żelaznych czeskich usuwać napisy czeskie, wtedy —gdy pociąg przebiega okolicę niemiecką. Oczywiście, powitano taki objaw nienawiści plemiennej — śmiechem.

Cesarz austryacki, jako szef pułku Keksholmskiego, wydał d. 20 b. m. dla deputacyi obiad z toastem w słowach: „Wznoszę puhar za zdrowie Jego Cesarskiej Mości Cesarza Wszechrosyi, mego Ukochanego Przyjaciela, i za świetną przyszłość Jego mężnego wojska."

Zniesiono już zupełnie stan wyjątkowy w Galicyi, zaprowadzony po zaburzeniach antysemickich z czerwca r. z.

Sejm cesarstwa niem. pośrednio odrzucił wniosek rządu, przyjęty przez zachowawców na własne *conto*, aby surowemi karami obłożyć ogłaszanie tajemnych aktów rządowych. Większość, w którą weszli także i Polacy, odmówiła odesłania do komisyi. Wniosek wymierzony był przeciwko prasie wolnomyślnej, socyalistycznej i narodowej poznańskiej.

W sejmie pruskim d. 24 b. m. Miquel na zażalenie Motty'ego o germanizacyę odpowiedział: Niechaj Polacy nie podają się za jagnięta, zagrożone przez wilka. Rząd nie chce wynaradawiać, chce tylko po niemiecku nauczyć. Niema zatem krzywdy; ale Polacy krzyczą, bo myślą rzeczywiście o *oderwaniu się od Prus* (!). Poznańskiego będą Prusy broniły do ostatniej kropli krwi.

Rząd angielski przyłączył już Sudan do „British Empire." Terytoryum zaczyna się od 22° szer. półn. Gubernatorem będzie Anglik, wojsko angielskie, flaga angielska obok egipskiej.

Ze sprawozdania rządu angielskiego widać, że Anglia miała w 1898 r. 1,000 statków wojennych...

— W niebie wszyscy ludzie czują toż samo, gdy się spotykają — rzekł.

Człowiek, który podbiegł do nas, wziął mnie za rękę i powiódł naprzód. Przechodząc wśród drzew, zanucił on głośno, i ktoś mu odpowiedział. Była to kobieta, która z nim razem pracowała; podprowadził mnie do niej.

— Trzeba dać mu się napić — rzekła ona i, zaczerpnąwszy rękoma wody, napoiła mnie (w piekle obawiałbym się przyjąć), a potem, narwawszy owoców, nakarmiła mnie.

Mężczyzna rzekł do mnie:

— Oświecaliśmy długo te owoce, zanim dojrzały.

A patrząc, jakem jadł, śmieli się i cieszyli.

Potem mężczyzna, wskazując na mnie, zwrócił się do kobiety:

— Czyż nie widzisz, że on jest znużony i pożąda spoczynku?

W piekle strach ani na chwilę nie dał mi zasnąć.

Położył głowę moją na kolanach swej towarzyszki i zakrył ją jej długimi włosami. Zasnąłem, ale i we śnie zdawało mi się, że słyszę rozkoszny śpiew ptasząt, a gdy się obudziłem, był jak gdyby wczesny ranek i na wszystko padała świeża poranna rosa.

Wtedy mężczyzna wziął mnie znów za rękę i powiódł do samotnego miejsca w skałach. Grunt tu był kamienisty, lecz gdzieniegdzie delikatne roślinki wznosiły już do góry swe pączki, a czysty strumień szemrał w pobliżu.

— To ogród, w którym pracujemy tylko my oboje: nikt o tem nie wie. Codzień świecimy tu i grzejemy. Patrz, oto ziemia już popękała, i z niej sączy się woda. I kwiaty już zakwitły.

I wdarł się na skałę, a zerwawszy dwa maleńkie kwiatki, na których jeszcze krople rosy błyszczały, podał mi je. Wziąłem do każdej ręki po jednym i dopóki je trzymałem, ręce moje świeciły.

— Gdy ogród będzie gotów, zrobimy go dostępnym dla wszystkich—rzekł mój przewodnik i wrócił do swej towarzyszki, a ja wyszedłem główną, szeroką, świetlaną drogą.

Idąc po niej, usłyszałem dźwięczny donośny śpiew i wkrótce ujrzałem człowieka, śpiewającego z zamkniętemi oczami. Dokoła niego stali jego słuchacze; zamknięte oczy pieśniarza dawały blask tak silny, jakiego dotąd jeszcze nie widziałem w niebie. Zwróciłem się do jednego ze stojących ludzi i spytałem, ktoby to był ten człowiek.

— Ciszej — rzekł — to nasz śpiewak.

— Czemu blask taki bije z jego oczu?

— Jest on ślepy, ale myśmy tak długo całowali jego oczy, aż świecić poczęły.

Idąc dalej, ujrzałem w oddali wśród drzew tłum ludzi, którzy szli ze śmiechem i radosnymi krzykami. Spostrzegłem, że nieśli oni człowieka, któremu brak było zarówno rąk, jak nóg. Pokaleczone jego członki świeciły tak olśniewająco, że nie mogłem nań patrzeć. Spytałem, kogo niosą.

— To nasz brat — odparli. Pewnego razu upadł i złamał sobie ręce i nogi; odtąd nie może się obejść bez naszej pomocy, ale myśmy tak często dotykali jego chorych miejsc, że bić poczęły najjaśniejszym blaskiem w niebie.

Nosimy go zaś po to, aby oświecał i ogrzewał to, co wymaga najsilniejszego światła i ciepła. Nikt nie pozostawia go długo u siebie, gdyż należy on do nas wszystkich.

Tymczasem tłum już nas minął; zwróciłem się więc do Ducha i rzekłem:

nnych o 1,661,252 ton. W budowie znajdowało się 9 statków o 73,000 ton.

W Neapolu i Palermo zaburzenia studenckie.

Pomiędzy Niemcami a Stanami Zjedn wybuchnęło nieporozumienie o Samoa. Ma się odbyć konferencya z udziałem Anglii.

Sejm szwedzki d. 18 zagaił Bostrem oświadczeniem, że, nie przesądzając wyników konferencyi nad częściowem rozzbrojeniem się Europy, Szwecya powinna nie ustawać we wzmacnianiu swej obronności. Z powodu choroby króla następca tronu objął regencyę.

Donoszą z Yemenu o nieustającem powstaniu. D. 30 listopada r. z. była bitwa pomiędzy Sauna i Saden, w której z obu stron padło 6,000. Turcy mieli przewagę. Arabom Anglicy dostarczają broni.

Porta okólnikiem wezwała Europę do powstrzymania pomocy i zachęty dla powstańców w Macedonii.

ŻYCIE SPOŁECZNE

TANI SPOSÓB.

[illegible]owikłane warunki istnienia nasze[illegible] sieć bytu słabo utkana i rozpo[illegible]starta w powietrzu, uczy nas sztuk akrobatycznych i linochodztwa. Staramy się rzeczy i kwestye sprzeczne pogodzić z sobą: nie mogąc wyrównać grudy życiowej, usiłujemy przystosować do niej koła naszej biedy za pomocą wyżłobień, w które wpadałyby nierówności drogi. Tak już do tego przyzwyczailiśmy się, że nawet nie rażą nas wprost fizyczne szkopuły. Nad logiką w istnieniu naszem zapanowała praktyczna filozofia godzenia rzeczy niezgodnych, w najlepszym zaś razie wyszukiwania środków i urządzeń przejściowych, tymczasowych, które bądź co bądź są lepsze, niżeli pierwotny stan rzeczy.

Podobne akrobatyczne pomysły i zabiegi widzimy między innemi w sprawie szkolnictwa, a zarazem w sprawie bytu nauczycieli. Kilka smutnych obrazków z tej dziedziny wysunęło ją na światło dzienne. Stwierdzono u nas powszechny dotkliwy brak szkół początkowych w stosunku do potrzeb i opłakaną dolę kierowników tych uczelni. Wobec braku środków, logika każe nam przypuszczać, że powiększenie szkół może być z krzywdą nauczycieli. Otóż tutaj projektodawcy robią skok akrobatyczny i za jego pomocą godzą obie kwestye sprzeczne. Podają oni swoje twierdzenie w postaci wniosków już sformułowanych, że można podwoić liczbę szkół i podnieść zarazem uposażenie nauczycieli obecnych, nie zwiększając ich liczby. Projekt ten wyszedł z Łodzi, a motywy jego są następujące: Według statystyki na 100 osób wypada 17 w wieku szkolnym. Ponieważ Łódź posiada 315,000 mieszkańców, a więc dzieci uczęszczających do szkół powinno być 53,550.*) Odtrąciwszy z tego 10% uczęszczających do średnich zakładów naukowych i szkół prywatnych, otrzymamy 48,195 dzieci, które powinny znaleźć pomieszczenie w szkołach elementarnych. Do każdej szkoły, złożonej z dwu oddziałów, uczęszczać może około 100 dzieci, a więc Łódź powinna posiadać 482 szkoły; obecnie jednak ma ich tylko 22! Uczęszczać do nich może zaledwie 2,200 dzieci. Bez nauki pozostaje tedy przeszła 45,000 dzieci z warstw przeważnie najuboższych. Ponieważ w danej chwili niepodobna marzyć o takiej liczbie szkół, ażeby mogły one zmieścić te wielotysięczne rzesze dziatwy, więc dziennik łódzki podał radnym miasta wniosek następujący: Koszt utrzymania jednej szkoły w Łodzi tak się przedstawia: mieszkanie 600—800 rb., pensya nauczyciela starszego 450 rb. oraz dodatek na stróża, węgiel itd. 150, razem 600 rb.; płaca młodszego (łącznie z mieszkaniem) 480 rb., razem 1,680—1,880 rb. W szkołach żeńskich dodaje się jeszcze 112—150 rb. rocznie dla nauczycielki robót. Jeżeli się otwiera nową szkołę, trzeba jeszcze na urządzenie jednorazowe dodać około 450 rb., a więc utrzymanie każdej nowej szkoły w pierwszym roku może kosztować 2,130—2,330 rb. oprócz wykładów religii, robót, gimnastyki i śpiewów. Ponieważ na to niema w danym razie funduszów, więc trzeba się uciec do innego środka. Gdyby przy szkołach istniejących dały się urządzić lekcye tak, ażeby z wykładów mogły korzystać dwie partye dzieci, jedna od godz. 8 do 12, druga od 1½ do 4½ lub 5½, to odrazu powstałyby 22 szkoły, z których korzystałoby około 22 dzieci. Prawda, że nauczyciel musiałby pracować siedem do ośmiu godzin dziennie. Ale przecież i obecnie prawie żaden nauczyciel elementarny mniej nie pracuje, gdyż po za 5½ godzinami pracy szkolnej jest jeszcze najmniej dwie godziny zajęty lekcyami prywatnemi. Za tę pracę nadetatową należy każdemu kierownikowi szkoły podwyższyć pensyę o 300 do 400 rb.

Taki jest ten prosty a cudowny sposób! Biorąc podwyżkę płacy dwu nauczycieli (starszego i młodszego) w przeciętnej, okrągłej cyfrze 600—800 rb., dojdziemy do wniosku na pozór nieprawdopodobnego: Łódź za 13,200—17,600 rb. może otrzymać 22 nowe szkoły! W takich samych warunkach są także inne miasta i ogniska fabryczne w Królestwie Polskiem, a więc i w nich należałoby wprowadzić podobny sposób zwiększania liczby szkół. Jako jeden z wielu środków szerzenia oświaty pomysł ten zasługuje na uznanie i zastosowanie w praktyce. Należałoby także wyzyskać inne, np. zużytkować wszelkie gmachy szkolne do wykładów wieczornych i niedzielnych. Najczęściej, jako przeszkodę, podsuwają nam brak pomieszczenia na uczelnię. Otóż do pewnego stopnia w powyższy sposób się ten szkopuł usunie! Trzeba tylko wszędzie wyszukać ludzi odpowiednich, którzyby mieli cierpliwość i dużo siły woli, ażeby koło tej sprawy chodzić wytrwale. I to przecież coś znaczy. Stworzenie nowych szkół zapomocą podziału uczniów na partye jest łatwiejsze jeszcze z tego względu, że usuwa zawiłą i długą drogę formalistyki. Weźmy to pod uwagę, że obierając ową drogę tymczasową, możemy dać krajowi kilkaset szkół, uprzystępnić oświatę kilku tysiącom ludzi i naprawić byt sporej rzeszy nauczycieli.

*) Obliczenia *Gońca Łódzkiego*.

— Jakież to dziwne: zawsze myślałem, że ślepota i kalectwo są to straszne nieszczęścia; a oto ludzie umieli w nich znaleźć źródło radości.

— Czy myślisz, że miłości potrzebne są ręce lub oczy? — odparł Duch i poszliśmy dalej po wielkiej świetlanej drodze, gdzie z obu stron wysokie palmy wznosiły swe korony.

I rzekłem do Ducha:

— Dawno to już, bo jeszcze w czasie dzieciństwa mojego, gdym się czuł opuszczonym lub gdym płakał ze zmartwienia, w marzeniach moich widziałem ten kraj, a teraz nie odejdę już stąd: zostanę tu i będę świecił i grzał.

I począłem zdejmować z siebie ubranie, aby módz świecić, jak inni, lecz wnet przekonałem się, że ciało moje nie promieniuje bynajmniej. Widząc mój wzrok z wyrazem zapytania ku sobie zwrócony, mówił Duch:

— Czy w twem sercu niema ani kropli krwi ciemnej? Czy niema w niem nienawiści względem nikogo?

— Jest... rzekłem i pomyślałem: Teraz czas... nadeszła wreszcie pora, gdy będę mógł pokazać Bogu, jak ciężkiem było moje życie, poskarżyć się, jak źle obchodzili się ze mną współbracia moi, jak mnie nie pojmowali, jak starałem się być dla nich wyrozumiałym i szlachetnym... a oni... I zacząłem mówić, lecz gdy spojrzałem na dół, spostrzegłem, że pod mojem tchnieniem bledną i więdną kwiaty... Zamilkłem. Duch poprowadził mnie dalej, a ja zakryłem twarz płaszczem i tak postępowałem za nim. Szliśmy długo; skały stawały się coraz wyższe i bardziej strome, aż nareszcie dotarliśmy do podnóża góry, której szczyt gubił się w obłokach. Na pochyłości jej, ludzie kopali ziemię olbrzymiemi łopatami, i widać było, że wytężali wszystkie swoje siły. Niektórzy z nich pracowali pojedynczo, inni grupami. Dwie krople potu występowały na ich czole, na rękach nabrzmiewały żyły.

— Nigdym nie sądził, że w niebie ludzie pracują tak ciężko!

I przypomniałem sobie te ogrody, w których ludzie śpiewali i kochali się, dziwiąc się, czemu ci wybrali taką ciężką pracę na tym nagim stoku. Lecz spostrzegłem, że od ich czoła szedł blask, a krople potu, które padały na ziemię, świeciły, jak brylanty.

— Po co oni kopią tę ziemię? — spytałem.

Duch dotknął oczu moich, i ujrzałem, że na ziemi rozsypane były brylanty. Olśniony ich blaskiem, nie z początku nie mogłem rozróżnić, wkrótce jednak spostrzegłem, iż blask kamieni był jakby odbiciem blasku, padającego z ócz robotników. Znalazłszy kamień, każdy z nich oddawał go natychmiast sąsiadowi, ten następnemu itd., a nikt nie pozostawiał go u siebie. A gdy odkopywano duży i ciężki, kilku pracowników podbiegało natychmiast do niego, podnosiło go w górę i napełniało powietrze radosnymi okrzykami; a potem znów brali się do roboty.

Spytałem ducha, jaki oni robią z tych kamieni użytek. On dotknął oczu moich, aby wzmocnić mój wzrok, a gdy je otworzyłem, ujrzałem u stóp mych olbrzymią koronę, od której biły potoki światła.

— Każdy kamień tu wykopany wprawiają oni w tę koronę — rzekł.



STOSUNKI SPOŁECZNE W KSIĘZTWIE POZNAŃSKIEM

W ŚWIETLE STATYSTYKI.

IV.

Chcąc mieć pojęcie, o ile w Księztwie rozwinął się przemysł, zdolny lepiej zadosyćuczynić potrzebom ludności, niż rzemieślnik pracujący sam na własną rękę, musimy zwrócić się do podziału przedsiębiorstw na klasy co do wielkości, jaki podaje statystyka. Niestety, ten podział, o ile ogłoszono cyfry dotąd, jest niedostateczny, gdyż obejmuje tylko następujące, zbyt obszerne działy: I) przedsiębiorstwa zatrudniające od 1—5; II) 6—20; III) 21—200 i IV) od 201 i więcej robotników.

W przemyśle liczono wogóle zakładów 44,341 z 130,754 ludzi, z tej liczby drobnych warsztatów, w których pracuje jeden tylko rzemieślnik bez pomocnika i bez motoru, było 23,100, reszta rozdziela się na klasy wymienione w sposób następujący:

Klasa:	Liczba zakładów tej klasy:	Liczba ludzi zatrudnion. w zakładach tej klasy:
I — 1 do 5 ludzi	18,511	47,421
II — 6 „ 20 „	2,113	19,122
III — 21 „ 200 „	585	29,329
IV — 201 i więcej „	32	11,782

Widzimy więc, że nawet po za wykluczeniem pierwotnego warsztatu, w którym pracuje jeden tylko człowiek, przeważa liczba drobnych zakładów rzemieślniczych; większe zakłady rzemieślnicze i drobne fabryki (klasa II) reprezentują już tylko około $^{1}/_{20}$ ogólnej liczby i zatrudniają około $^{1}/_{7}$ liczby ludności, pracującej w przemyśle; średnie i duże zakłady przemysłowe (klasa III i IV) stanowią niespełna $^{1}/_{72}$ wszystkich przedsiębiorstw przemysłowych, lecz zatrudniają 41,000 ludzi, to jest trzecią część ogólnej liczby. Jeżeli więc większe zakłady nie są tak liczne, aby nadać krajowi piętno kraju przemysłowego, to przecież nie są one już dziś wielkością, którąby można pominąć milczeniem, gdy się mówi o ekonomicznej budowie kraju i społeczeństwa.

Jakie gałęzie wytwórczości reprezentują te większe zakłady przemysłowe? Co do 32 wielkich przedsiębiorstw klasy IV, znajdujemy następujące: 3 cegielnie, 1 fabrykę maszyn, 1 fabrykę chemiczną, 1 przędzalniczo-tkacką, 17 należących do przemysłu cukrowniczego, gorzelniczego i browarnego, 9 przedsiębiorstw budowlanych. A więc o ile istnieją wielkie zakłady, produkują one po za gorzelniami i cukrowniami przeważnie towary na potrzeby miejscowe — wielki przemysł wywozowy nie istnieje. Co do 518 fabryk klasy III, znajdujemy: 108 cegielni, 23 fabryki maszyn, 13 fabryk przetwarzających metale (ślusarnie, odlewnie itp.), 63 fabryki przetwarzające drzewo (stolarnie, tokarnie, bednarnie itp.), 69 fabryk wytwarzających przedmioty spożycia (cukrownie, browary, młyny, piekarnie itp.). Wogóle w tej klasie mamy wszystkie gałęzie wytwórczości. Zastanawia jednakże w kraju rolniczym mała liczba garbarni większych (istnieją 3 zatrudniające razem 159 ludzi) i młynów.

Jak widzimy, rzemiosło jest bardzo licznie reprezentowane, przeważa co do liczby zatrudnionych ludzi. Jest to bardzo naturalne, skoro się zważy, że Księztwo jest krajem rolniczym. Jednakże byt drobnego rzemieślnika nie jest świetny. Dziś mniej niż kiedykolwiek zasługują na wiarę gadki w rodzaju takiej: „buty ludzie zawsze nosić będą, więc szewc zawsze będzie miał z czego żyć“; a niemi wciąż jeszcze, niby maksymą, kieruje się ogół. Weźmy np. szewców: w r. 1882 stosunki w szewctwie były takie: samodzielnych majstrów 7,251, robotników 5,768; w roku zaś 1895 — majstrów 7,315, robotników 4,850. Liczba więc samodzielnych majstrów wzrosła. Nie w tym stosunku jednak, w jakim ludność, ale powiększyła się. Liczba zaś czeladników spadła. Nie ulega przecież kwestyi, że butów potrzebowano więcej, niż przed laty trzynastu; owi 54 majstrowie, którzy przybyli, nie zastąpili 958 czeladzi, którzy ubyli. Jak więc pogodzić fakty? Oto ludność nosi dziś przeważnie obuwie maszynowe, wytworzone w fabrykach; majster szewcki stał się „partaczem,“ który wykonywa tylko reperacye i nie potrzebuje czeladnika, bo sam zaledwie ma zajęcie dla siebie. Czeladź musi więc szukać gdzieindziej źródeł zarobku. Część przeszła do innych zawodów, część zaś próbuje utrzymać się przy szewctwie, zakładając miniaturowy warsztat reparacyjny. Byt takich drobnych majstrów i ich czeladników jest jednakże opłakany. Oto, co pisze kompetentny znawca, inspektor fabryczny, w sprawozdaniu ostatniem: W niektórych rzemiosłach, szczególnie w krawiectwie i szewctwie, praca trwa dłużej, niż 13 godzin; w dnie przedświąteczne pracuje się bez przerwy niemal po 16 i 17 godzin. Brak powietrza i ciasnota warsztatów oddziaływają źle na zdrowie pracujących. Wobec tego inspektor rad byłby wiedzieć ograniczenia co do czasu, w jakim wolno zatrudniać czeladź i terminatorów, podobnie jak prawo ograniczyło czas roboczy w piekarniach. Przyczyny zaś takiego stanu wyjaśnia inspektor dla prowincyi wschodnio-pruskiej, gdzie warunki są takie same, jak w Poznańskiem: „Składy obuwia i fabryki maszynowe opanowały szewctwo i obniżyły ceny w takim stopniu, że zupełne wyrugowanie drobnych egzystencyj może być tylko kwestyą czasu. Drobni majstrowie, zarówno jak czeladź, będą zmuszeni prędzej czy później wstąpić do fabryk lub szukać innych źródeł zarobku.“

Do drobnych rzemiosł należy również stolarstwo. W roku 1882 liczono majstrów i przedsiębiorców 2,287, robotników (czeladzi) 2,667; w roku zaś 1895 — majstrów 2,248, robotników 3,837. W stolarstwie założenie warsztatu jest rzeczą kosztowniejszą, niż w szewctwie; to też nie pomnażają się one wraz z wzrostem ludności; ręk roboczych potrzeba więcej, lecz znajdują zatrudnienie w warsztatach większych. Podobnie w rzeźnictwie: liczba majstrów prawie że nie wzrosła, liczba czeladzi wzrosła o 800. Takich przykładów możnaby przytoczyć wiele. Ciekawą i pożyteczną byłoby pracą zbadać i opisać szczegółowo kilka przynajmniej gałęzi wytwórczych w teraźniejszej fazie rozwoju. Jednakże ogólny wizerunek, jaki przedstawia się na zasadzie przytoczonych cyfr, jest wyraźny: *Księztwo Poznańskie wstąpiło na drogę rozwoju kapitalistycznego, która doprowadza do koncentracyi kapitału.*

Wprawdzie niema widoków, aby rozwinął się tu wielki przemysł wywozowy w takich rozmiarach, jak w Królestwie, gdyż niema do tego warunków. Konkurencya z przemysłem zachodnich dzielnic państwa niemieckiego jest niemożliwą, a brak węgla kamiennego rozstrzyga kwestyę ostatecznie na niekorzyść Księztwa. Jedyną pobudką do zakładania fabryk tu i w Prusach zachodnich może być jedynie taniość sił roboczych, lecz tego czynnika przeceniać nie należy. Tani absolutnie robotnik może być względnie bardzo drogim, gdy jest mało produkcyjnym, a robotnik rolniczy musi być takim z konieczności. Jednakże kapitaliści niemieccy widocznie już zaczynają łakomić się na ową tanią siłę roboczą dzielnic polskich. Świadczy o tem pośpiech, z jakim oświadczyli niedawno ministrowi Gosslerowi gotowość do poparcia jego dążeń, „w celu podniesienia kulturalnego wschodnich kresów państwa przez rozwinięcie także pracy przemysłowej.“ Te zamiary ministeryalne dalekie jeszcze są od urzeczywistnienia. Minęły bowiem czasy „kolbertyzmu“ i dziś przez poparcie rządu nie stwarza się jeszcze warunków do rozkwitu przemysłu.

Jeżeli więc mamy powody wątpić, aby Księztwo stało się krajem przemysłowym w tem znaczeniu, że praca ludności będzie przeważnie skierowaną na wytwarzanie towarów dla rynku wszechświatowego, to jednak dotychczasowy przebieg procesu ekonomicznego świadczy, że produkcya, mająca na celu przetwarzanie miejscowych produktów rolniczych, oraz zaspokojenie potrzeb ludności krajowej, przybiera coraz wyraźniej formy kapitalistyczne z wszystkiemi cechami, towarzyszącemi tej formie nieodmiennie.

Niewątpliwie ten proces odbyć się nie może bez wielkich ofiar i wstrząśnień. Jednakże społeczeństwo jako takie na tym procesie zyskuje, gdyż dziś rozwój kapitalizmu dla narodów europejskich, oznacza rozwój kulturalny. Można wątpić o tem, czy ta droga jest dogodną, czy te przejścia są pożądane, ale zgodzić się na to trzeba, że innej drogi niema. Szczególnie ciężką, pełną momentów tragicznych, jest walka rzemieślników z fabryką. Lecz skoro doszło do tego, że istnienie drobnych warsztatów świadczy nie o sprawności produkcyi rzemieślniczej, lecz o zdolności głodzenia się drobnych producentów i o nadmiernym wyzysku terminatorów, lepiej jest, że ta forma produkcyi zanika.

Dr. J. B. Marchlewski.

CHOROBA ŚWIATA.

Wglądając w głębie życia, w jego szumy i męty, spostrzegamy znamienne zjawiska — piętno chwili. Wszelki brud, wszelka potworność, plugastwo, wszelki rozkład moralny, zwyrodnienie dusz i charakterów — ogarniają coraz szersze zastępy, zyskują coraz liczniejszych obrońców. Taki Henry, sprzedawca, krzywdziciel swojej ojczyzny, pomewiera jej czci przed światem, znalazł przyjaciół, którzy po jego śmierci zebrali olbrzymie sumy na obronę zniesławionego i potępionego za ciężką zbrodnię i krzywdę narodu, a więc i za krzywdę tych, którzy jego honor w opiekę wzięli. Ten sam naród, który dał mandat swoim przedstawicielom do wymierzenia winnym sprawiedliwości i oczyszczenia społeczeństwa z grożnej zgnilizny — ten sam naród występuje obecnie przeciwko swoim mandataryuszom, nie pozwala na uzdrowienie siebie, pragnie swoją gangrenę zachować. Dowodzi to, że choroba dotarła nietylko do serca lecz i mózgu społeczeństwa, które straciło zdolność odróżniania złego od dobrego.

Gdzieindziej widzimy również podobne zwyrodnienie, obronę a nawet sztuczną hodowlę bakteryj rozkładu moralnego. Niemcy zadają gwałt cywilizacyi i wszelkim poczuciom humanitarnym szerzą zorganizowane prześladowanie i nienawiść plemienną. Pod hasłem miłości chrześciańskiej i wielkiego posłannictwa narodu, jak ongi surowe krzyżactwo, dają upust swoim instynktom łupieżczym i zaborczym.

Wniknijmy baczniej w sprawy świata, odrębnych jego cząstek i kółek, a uderzy nas panujący powszechnie objaw:

Na arenie życiowej, wartość moralna jednostki odgrywa podrzędną rolę; ceni się jej siła, zdolność do pracy w pewnym zakresie. Niema ducha i charakteru, jest tylko maszyna dwunożna i dwuramienna, z mniejszą lub większą prężnością pary myśli pod czaszką. Jeżeli zbliżymy się do

rozdawców pola, na którem takie jednostki mają pewną czynność, spostrzeżemy w duszach i charakterach gospodarzy-przedsiębiorców jedną z tych wielostronnych i wielobarwnych moralności, najbardziej typowych, o których piszą i rozprawiają dziś psychologowie mas i sekt. Widzimy właściwie dwie szaty, uszyte z tandety moralnej, jedną od święta, dla oka ludzkiego, drugą — codzienną, dla siebie, swoich potrzeb i swego sumienia, rozciąglíwszego, niż opaski gumowe.

Taką dwulicowość moralności, jej charakter prywatny i publiczny spostrzegamy i u nas na każdym kroku: „Osobiście potępiam wyzysk, uprawiany przez tę lub inną instytucyę, gardzę tym lub innym plugawcem: lecz jako przedsiębiorca, radca, redaktor, muszę się liczyć z nimi.“ — „Dlaczego przyjąłeś pan do redakcyi szubrawca, infamisa, delatora, szantażystę, sprzedawczyka, wygnanego ze wszystkich kół uczciwych, któremu nikt dziś już ręki nie podaje?“ — pyta ktoś redaktora pewnego dziennika. „Ja nie patrzę na człowieka, lecz tylko na to, co on zrobić potrafi“ — odpowiada cynicznie redaktor. Ten cynizm, to strój codzienny, szlafrokowo-pantoflowy, w którym się robi grosze, zakasawszy rękawy i zanurzywszy ręce po ramiona w bagnisku. Z za kulis takich zapatrywań i takiej pracy wychodzi odezwa publiczna: „Idąc w imię dobra, piękna i prawdy, hołdując wszystkiemu, co czyste, szlachetne, prawe, nieskazitelne, postanowiliśmy rozszerzyć zakres naszego pisma. Liczymy na poparcie szerokiego ogółu, przemawiamy do niego w imię obowiązków społecznych i obywatelskich...“ To jest strój odświętny, dla ludzi.

Lekceważenie charakterów i dusz czystych, a ocenianie tylko zdolności lub użyteczności, wytworzyło to, że dziś różne pola pracy, ważne i zaszczytne, zabagniły się i cuchną zdaleka. Społeczeństwo czuje tę woń, zatyka sobie nos, ale nie stara się o jej usunięcie. Jakiś dostarczyciel wiadomości brukowych, którego wszyscy się boją, wszyscy mu się opłacają, składają haracz w gotowiźnie i naturze — chwyta „ster opinii publicznej,“ staje na łódce do przewożenia gnoju i przemawia z niej do społeczeństwa. Przedsiębiorca bez wykształcenia i jakichkolwiek zdolności, wypędek szkolny, zakłada organ własny — sklepik i w nim sprzedaje na łokcie towary: antysemityzm i katolicyzm, co kto lubi. Pod temi nazwami puszcza towary zleżałe, bez wartości, za które wszakże przekupień ręczy tem, czego nie posiada ani w sobie, ani w swoim handlu: honorem i sumieniem. „Interes“ jednak się opłaca: ale zatłuszczony i zasmolony sklepikarz ochrypł od wołania, więc przyjmuje subjekta, wypędzonego z innych przedsiębiorstw za różne „sztuczki“ i „kawałki.“ I ten, będąc dawniej zbieraczem śmieci ulicznych, nieczystości kanałowych, staje się nietylko handlarzem, lecz i wytwórcą towarów łokciowych: robi od ręki „powieści“ — paszkwile.

Społeczeństwo patrzy na ten handel od lat wielu spokojnie i obojętnie, patrzy na poniewieranie i kupczenie swojemi uczuciami. Ludzie wierzący pozwolili na to, ażeby ci przekupnie sprzedawali hurtownie i detalicznie pod nazwą „katolicką“ wszystko: od obrazków świętych do umeblowania lupanaru. Dziś już niewielu razi nawet to, że najmizerniejszego gatunku zbieracz skandalów prywatnych, podpatrywacz buduarowy i uliczny wchodzi na mównicę. Nie razi to nikogo, że ten sam „bohater“ i „działacz,“ obrawszy niegdyś dla karyery zawód duchowny, snuje opowieści z własnego życia i wobec swoich czytelników pobożnych rozpina namiot z szat kapłańskich, pod którym ukazuje lubieżne obrazy pokątnych miłostek kleryka.

Działacze ci są tem szkodliwsi, że po za światlejszą garstką szlachty i duchowieństwa, obałamuconą hasłami antysemityzmu, za przedmiot swej spekulacyi i karyery obrali rzesze najmniej uzdolnione do krytycyzmu i obracające się w najciaśniejszych widnokręgach umysłowych. I oto widzimy coś podobnego do obrazu rozgrywającego się obecnie we Francyi: Pewien odłam społeczeństwa, jak tam Henry'ego, popiera tutaj swoich krzywdzicieli i wyzyskiwaczów. Europejczyk bardzo łatwo może zjednać i wyzyskać dzikich kawałkiem szkła lub blachy błyszczącej. Otrzyma za to ich przyjaźń i perły. To samo robią u nas kuglarze społeczni: Rzucają swym rzeszom błyskotkę: „Nasza kiełbasa chrześciańska! Nasza uzdzienica, nasze siodło chrześciańskie!“ I za to zgarniają nietylko ruble naiwnych, lecz także perły ich ideałów i dobrej wiary. Są jednak tak przezorni, że nie dają okularów i rękawiczek chrześciańskich, z których pierwsze pozwoliłyby rozejrzeć się w kuglarstwie i spekulacyi, a drugie dałyby możność ochrony rąk od zawalania w styczności z tymi kierownikami opinii.

Nie podawalibyśmy charakterystyki tego handlu i tej całej działalności, gdyby tu chodziło tylko o stosunek przekupniów do wyższej inteligencyi i do tego ogniska, przy którem chcą oni upiec swoją pieczeń z padliny i rozprzedać ją ciemnym a zgłodniałym rzeszom. Ta garstka potrafi z nimi się rozprawić łatwo: odpędzi pokurcza, nawet nie psując obcasa na kopnięcie w zęby. Ale nam chodzi o co innego: o to, że wszelkie placówki społeczne coraz liczniej zajmują tacy działacze, którzy ogółowi rzucają zniewagę, kupcząc jego ideałami i którzy powinni być stanowczo wykluczeni z uczciwego społeczeństwa. Wykluczyć zaś ich można tylko za pomocą pręgierza moralnego. Ażeby postawić pod nim zaszargańców i plugawców wszelkiego rodzaju, na to potrzeba tylko odwagi. Niestety, u nas zwykle się mówi: „Po co go zaczepiać? Wszakże to skunks amerykański. Ma swoją broń specyalną. W Ameryce są jednak tacy, którzy nietylko nie boją się skunksów, lecz nawet ich skóry wywyprawiają. Otóż nie należy i nam się bać tej woni przykrej, która wytwarza zaduch w społeczeństwie naszem. Nie trzeba się bać śliny i błota, które nigdy nie splamią czystych charakterów. Społeczeństwo musi nareszcie urządzić kanalizacyę swego gruntu i odprowadzić daleko nieczystości. Nie lękajmy się i nie wzdragajmy tej roboty. Miejmy odwagę nie przyjąć podanej ręki brudasa, nie ukłonić się mu na ulicy, nie dopuścić go do towarzystwa uczciwego, odsłonić i napiętnować publicznie jego czyny haniebne, zedrzeć z niego maskę, pod którą obałamuca naiwnych i kupczy ich uczuciami. Miejmy wreszcie odwagę oddawać pod sąd uczciwej opinii publicznej i tych panów, którzy zasilają stawy swego przedsiębiorstwa żabim skrzekiem, wydobytym z zastałej i cuchnącej wody bagnistej naszych równin społecznych, gwoli zasadzie użyteczności.

Społeczeństwo nasze wyrasta na dobrej i żyznej glebie. Ale wątłe latorośle charakterów łatwo się uginają. Ten i ów w gruncie uczciwy i czysty, lecz chwiejny i tchórzliwy, poda ukradkiem rękę brudnemu przekupniowi swego środowiska. Ten i ów nie może zerwać stosunków ze szkodnikiem i kłusownikiem społecznym, pomimo że czuje cały ciężar i całą hańbę tych stosunków. W ten sposób wytwarza się dwoistość, i tchórzostwo charakterów, rodzą się natury łamliwe i chwiejne, które pomimo swej uczciwości nie mogą tworzyć z siebie cegiełek dobrze zahartowanych do fundamentów moralnych naszego społeczeństwa.

Ludzie wielcy byli wielkimi nietylko dlatego, że ich natura obdarzyła nadzwyczajną siłą umysłu, dała im skrzydła orle i wzrok sokoli, lecz jeszcze i dlatego, że z ich duszy biło zawsze promienne i czyste światło, płynące na równiny, padoły i wzgórza społeczne. Z tego światła, z tych czystych blasków, aureoli istotnej wielkości duchów potężnych, charaktery szlachetne zawsze czerpały siłę do pochodu życiowego i ceniąc wszelkiego rodzaju uzdolnienia, dary umysłowe i moralne, zawsze łączyły z nimi warunek nieodzowny: czystość duszy. Charakterów takich, czerpiących siły nie z nizin, lecz wyżyn moralnych, mamy coraz mniej, natomiast coraz więcej nieokreślonych, niezahartowanych w ogniu życia. Powódź walki materyalnej zalewa coraz bardziej nietylko płaszczyzny, lecz i wierzchołki naszych obszarów społecznych. Kto się nie zdoła oprzeć tej fali i od czasu do czasu poddać się promieniom słonecznym na jakimś cyplu duchowym, ten już na zawsze pozostanie w odmętach bytu i tam zatraci pojęcie o klasyfikacyi dusz i charakterów.

To są warunki, które wytworzyły w nas szeroką tolerancyę niegodziwości i brudu, zabiły wrażliwość w tej mierze. Nietylko nie brzydzimy się ślizkich padalców, lecz nawet dotykamy do nich ręką. Nietylko nie odsuwamy od siebie wszelkich spekulantów, przekupniów, rzezimieszków i opryszków moralnych, lecz pozwalamy im grasować bezkarnie.

Trzebaż raz przecie zdobyć się na odwagę i siłę woli, ażeby wypowiedzieć otwartą, stanowczą i systematyczną walkę temu wszystkiemu, co plugawi i zbezczeszcza społeczeństwo, co pod przykrywką dobra powszechnego załatwia własne obroty spekulacyjne.

Zenon Pietkiewicz.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Mistrze wobec etyklety chińskiej.

Najbardziej swojskim — rzec można — narodowym typem pisma peryodycznego jest u nas *kuryer*. Wydawnictw tego rodzaju mamy w Warszawie 4, w innych miastach 7; są one najliczniej prenumerowane, najszerzej czytane i wpływowe. Nadto w wielu innych, odmiennych, znajdują się rubryki i działy, prowadzone podobnie, a niedawno nawet jeden z tygodników literackich nosił tytuł *kuryera*. Nie jest to postać prasy sztucznie u nas zaszczepiona, lecz widocznie odpowiada potrzebom i upodobaniom społeczeństwa, które w większości swojej jest niezmiernie ciekawem, przyjmującem chętnie nowiny świeże, niż prawdziwe, zmieniającem ciągle chętnie przedmioty swojej uwagi, nielubiącem zastanawiać się długo nad żadną sprawą, pragnącem spożywać sztukę w cukierkach, naukę — w migdałkach z cienką łupiną, doświadczenie życiowe — w kroplach laurowych.

Własne nasze twory stają się naszymi twórcami. Ta sama prasa, którą wydaliśmy z siebie, ażeby dogadzała naszym słabościom, podtrzymuje i budzi tę słabość. My zrodziliśmy kuryery, a one nas wychowują i kształcą. One urabiają naszą opinię, wskazują kierunki naszym myślom i celo dążeniom, dają nam zasady i uczucia, rozstrzygają, czem mamy się zachwycać, a co lekceważyć, co nazywać wielkiem, a co małem, za czem biedz i od czego się cofać — piszą nam nuty i wybijają rytm życia, a my gramy, śpiewamy i maszerujemy.

Jest to objawem powszechnym i zupełnie naturalnym, że takie społeczeństwo i takie organy przenoszą zawsze konkretne fakty nad oderwane idee, żywych ludzi

nad duchy i krzyk reklamy nad język powagi. Ogólne bowiem pojęcia, sądy ściśle zważone nie nadają się do malowania jaskrawych obrazów i wydobywania silnych tonów, oślepiających oczy i ogłuszających uszy, a niezbędnych dla wzruszenia tłumu. Niejednemu z was zapewne zdawało się, że co najmniej przez ostatni tydzień grudnia umysły nawet najbardziej wrażliwe na „aktualność“ zajmowały się Mickiewiczem. Było to złudzenie, a kto uważnie wsłuchał się w ów gwar na cześć wielkiego poety, ten łatwo w nim zauważył przedzierające się przezeń głosy zwykłych nalogów. Przypomnijcie sobie numery pism z tej daty, toasty biesiado-...

„Mickiewicz — pisano tam lub mówiono — był niedościgniony geniuszem, ukochanym wieszczem, który czuł za miliony, który... niech żyje Sienkiewicz!“

„Twórca *Pana Tadeusza* stoi obok największych olbrzymów świata. Potęga jego myśli, głębia jego uczucia zdumiewa nas, czaruje, wdzięcznością napełnia .. niech żyje Godebski!“

„Mickiewicz to słońce, około którego bledną pierwszorzędne gwiazdy literatury, to wiecznie żywem światłem jaśniejąca pochodnia, to... niech żyje dr. Benni!“

Kalejdoskop się zmieniał, co chwila wyprowadzano na widownię publiczną nowych tytanów, którzy zasłaniali sobą w dal usunięty promienny cień, tak że trzeba było pytać, kto jest właściwym bohaterem uroczystości i komu składane są hołdy. Zwłaszcza po za niebotyczną postacią Godebskiego Mickiewicz niknął zupełnie. Słowo: „mistrz“ jak korona przenosiło się ustawicznie z jednej głowy na drugą, a po kilku dniach znaleźliśmy się wobec tylu i tak wielkich „mistrzów,“ że ów niby czczony wydał się między nimi najskromniejszym i gdyby ożył, nie śmiałby z placyku na Krakowskiem Przedmieściu przejść do sali, gdzie wyprawiano ucztę pod jego imieniem.

Pamiętam z czasów uniwersyteckich kolegę, który umiał tańczyć tylko walca. Gdy się znalazł na zabawie i zagrano co innego, on brał pannę, puszczał się z rozmachem i szczerym zamiarem tańczenia według muzyki i po kilku niezgrabnych obrotach kończył walcem. Przypomina się on mi często, gdy patrzę na nasze dziennikarsko-społeczne pląsy. My umiemy tańczyć tylko kuryerowego menueta. Kiedy zdawało się, że wszyscy zatonęli w Mickiewiczu, zaczęto ściśle badać, kto pierwszy rzucił myśl uczczenia go pomnikiem, ustalono, że ją podjął mistrz Sienkiewicz, ten znowu stwierdził, że go w zamiarze umocnił Pług, a jednocześnie obwieścił, że na największą wdzięczność naszą zasłużył mistrz Godebski, któremu pomogli inni mistrze. I takim sposobem uroczystość Mickiewiczowska zamieniła się szybko na święto wzajemnej adoracyi rozmaitych mistrzów, między którymi nie było jednego, chociaż miał być tylko ten jeden.

Przyjechał do Warszawy mistrz Paderewski. Artysta wszechświatowej sławy, któremu Angielki rozdzierały chustki od nosa na pamiątkę, nie żaden nieboszczyk, ale żywy, przyjemny człowiek musiał wpaść u nas w war uwielbienia. Ponieważ jednak przez kilkanaście lat pobytu za granicą odwykł od naszych reklamowych menuetów, więc zaraz na pierwszej uczcie zawołał: „szanowni panowie, ale nie kłaniajcie mi się tak nizko, bo ja spełniam tylko mój obowiązek.“ Nic to nie pomogło. Nowy mistrz kaszle, krztusi się w pochwalnych dymach, chwyta ustami świeże powietrze — daremnie. I Ludwik XIV lub XV, gdy podczas rannego ceremoniału drżał zziębnięty, byłby nieraz wolał, ażeby mu prędko włożono koszulę, zamiast ją podawać uroczyście przez rozmaitych dostojników: ale trudno: kiedy się jest królem, chociażby tylko fortepianu, trzeba znosić udręczenia tej godności. Więc też Paderewski znosi cierpliwie wszystkie „petites“ i „grandes entrées“ dworzan *kuryerowych*. Te biuletyny, donoszące, że mistrz raczył się uśmiechnąć, przyjął bukiet, otworzył złote usta itd., te wybijania przed nim pokłonów aż do pęknięcia czaszek, to chińskie poniżania siebie, ażeby wywyższyć gościa — mogłyby w oczach ludzi rozumnych osłabić wartość mniejszego talentu i charakteru. Na szczęście Paderewski jest wielkim talentem i pięknym charakterem. Jak on gra — niech wam opowie nasz sprawozdawca. Ja tylko wtrącę jedną uwagę. Znam cztery rodzaje muzyki: jedna, jak piosenki szynkowe i kawiarniane, podoba się pospólstwu; druga, jak dawne opery włoskie — ludziom ukształconym i wrażliwym; trzecia, jak *Goplana* — mądrym kontrapunkcistom; czwarta, jak utwory Mozarta, Chopina lub śpiew słowika, czaruje zarówno mądrych kontrapunkcistów, jak ludzi ukształconych, a nawet tłum. Otóż Paderewski znajduje się w tej ostatniej kategoryi — gra tak, jak Chopin lub słowik.

Chociażbym miał przez to wywoływać ironiczne uśmiechy, nie przestanę przywiązywać społecznej wagi do wartości charakterów bez względu na to, z jakimi zawodami i umysłami są one złączone. Stanowią bowiem wielką siłę wszystkich społeczeństw. Z najwyższą tedy rozkoszą widzę, że Paderewski jest ciągle duszą dobrą. Zdobywszy znaczny majątek, użytkuje z niego nietylko rozumem, ale i sercem. Wtajemniczeni w jego zacną wolę opowiadają, że zakrytą ręką pomaga hojnie rozmaitej niedoli. Gdy po kilkunastu latach odwiedził Warszawę, co jej przywiózł? Wielbicielom sztuki — dowody swego wspaniałego talentu i pracy, a biednym — dochód z trzech koncertów. Od niego lub przez niego otrzymały 12.000 rb. zakłady dobroczynne, szpitale, młodzież kształcąca się, wydawnictwa ludowe itd. W tej ofierze poznaję tego samego Paderewskiego, który utkwił mi w pamięci jasnem wspomnieniem. Kiedy Chałubiński, który z moich znajomych sam jeden przepowiadał mu wielką przyszłość, dogasał w Zakopanem, pojechałem do niego, ażeby po raz ostatni pożegnać się z tym czcigodnym i drogim mi człowiekiem. W rozmowie wspomniał o Paderewskim.

— Jak mnie to cieszy — rzekł — że nasz pan Ignacy wysoko się wzbija. Zobaczysz pan, że jego sława rozpostrze się szeroko. Ale ja tego nie doczekam i — dodał z westchnieniem — nigdy go już nie usłyszę.

W kilka dni potem spotkałem w Wiedniu Paderewskiego, któremu opowiedziałem o tej wróżbie i żalu. Nazajutrz dowiedziałem się, że nagle wyjechał do Zakopanego, gdzie przez trzy dni grał Chałubińskiemu, który też wkrótce umarł.

Ile razy później usłyszałem o Paderewskim, zawsze przypominał mi się ten piękny rys jego szlachetnego serca. I widzę, że on to serce zachował, że ono mu w życiu nie stwardniało.

Zdaje mi się, że takich ludzi można cenić, wyrażać im wdzięczność, uznawać ich zasługi, nie używając tego reklamowego stylu, który stał się panegirycznym żargonem naszej prasy. Chińczyk, chcąc uraczyć gościa swoją grzecznością, mówi do niego: „witam cię najdostojniejszy panie w swoim brudnym i zapowietrzonym domu i proszę, ażebyś spożył u mnie obiad, którym by nawet twoje psy pogardziły.“ Zapewne, jest to także uprzejmość, ale zwyczaje europejskie wynalazły dla niej inną, szlachetniejszą formę, która nie zmniejszając siły uczuć, pozbawia je tylko wstrętnej przesady. Te same zwyczaje zmieniły również zachowanie się nasze wobec znakomitych ludzi. Już ani im, ani ich wielbicielom nie powinna smakować etykieta chińska, pozbawiająca pierwszych rozumu a drugich godności. Czyż to nie wystarcza, gdy powiemy: Paderewski jest wielkim fortepianistą i zacnym człowiekiem, a dopiero godną nas i jego będzie pochwała: Niedościgniony ten mistrz pozwolił nam nędznym robakom podnieść ku sobie oczy? Nie *kuryerujmy*.

Poseł Prawdy.

BADANIA NAUKOWE.

RODOWÓD ŚWIĄT.

II.

Ukazanie się świąt astronomicznych jest możliwe dopiero od chwili, w której człowiek zaczął zdawać sobie sprawę z biegu dni i odkrył sztukę rachowania czasu.

Próby zapanowania nad tym pierwiastkiem rozpoczynają się bardzo wcześnie. Nawet u dzikich mieszkańców N. Holandyi istnieją już pewne sposoby, dążące do rozwiązania tego zadania. Gdy trzeba się umówić o termin spotkania, każda z zainteresowanych grup wybiera młodzieńca i za pomocą czerwonej farby wyznacza na jego ciele liczbę dni, malując kreski, z których każda odpowiada jednej dobie. Dzięki ten zwyczaj, zastępujący nasze kalendarze, dotrwał i wśród ludu swojskiego, tylko, zamiast malowań, posługującego się nacinaniem karbów na kiju. Co zaś do znajomości wytycznych punktów w biegu słońca, mianowicie porównań i przesileń, to ona ukazuje się już na niższym, w każdym zaś razie na średnim szczeblu barbarzyństwa. Może kogoś zdziwi okoliczność, iż człowiek, znajdujący się na takim niskim poziomie rozwoju umysłowego, doszedł do umiejętności, której nie podołałby olbrzymi procent społeczeństwa cywilizowanego. Ale z tą sztuką dzieje się to samo, co z każdym innym zawodem. Niegdyś każda gospodyni wiejska umiała lepić garnki, których wyrób był ongi tak samo sztuką domową, jak dzisiaj wypiek chleba. Podział pracy powierzył to zajęcie specyalistom i oduczył włościan od powszechnej umiejętności. To samo da się także powiedzieć i o pewnych spostrzeżeniach astronomicznych. My, mieszkańcy miast, bez zegarka w ręku, nie zdołalibyśmy wyznaczyć pory południowej, chociaż włościanin, spoglądając na długość i sposób ułożenia się cienia w bruździe, przewybornie oryentuje się co do czasu. Gdyby robił systematycznie takie obserwacye, spostrzegłby, że w godzinie południowej cień posiada nie zawsze jednakową długość: wyciąga się on z dnia na dzień, a doszedłszy do pewnej wielkości maksymalnej, skraca się, poczem znowu staje się dłuższym. Ujrzałby wtedy, iż istnieje pewne maksymum i pewne minimum, oraz wykryłby jeszcze dwa inne położenia, odpowiadające porównaniom. W takich prostych spostrzeżeniach tkwi już zarodek naszego kalendarza astronomicznego, a są one tak przejrzyste, że nawet barbarzyńca ich dokonał. Naturalnie, barbarzyńca-rolnik, bo cały tryb życia zmuszał go do poznania podziałek czasu i zastosowania do nich robót polnych. Powstanie specyalistów, którzy układają kalendarze, oswobodziło włościanina od posiadania tej sztuki, i zastąpiło ją przez przysłowia, wiążące pewne zajęcie w polu z nazwiskiem tego lub innego świętego z kalendarza, np.:

Na święty Krzyż
Śmiało owce strzyż;

albo

Siew na święty Marek.
Dobry w polu tatarek.

Ale rolnik-barbarzyńca sam musi dawać sobie radę z wyznaczeniem położenia dni w roku. Jak to uskutecznia, przykłady dadzą nam najlepsze pojęcie:

U Kajanów (na w. Borneo) pewne osoby w wiosce mierzą codziennie cień, rzucany w południe od słupa na powierzchnię poziomą. Ci, którym powierzono tę czynność, mają kij z wyrzniętą na nim skalą. Zresztą metody pomiaru są trzymane w tajemnicy.

U Zuńczyków (w N. Meksyku) istnieje specyalny kacyk słońca, który mniej więcej w ten sam sposób bada jego bieg, zwłaszcza w okresie letniego przesilenia, i według tego wyznacza porę tańców, tj. uroczystości deszczowych.

Z nastaniem takich sposobów wyznaczania czasu powstają święta, którym daliśmy nazwę astronomicznych. Nie znaczy to, ażeby dopiero wtedy miały one ukazać się, lecz tylko, że zyskują wyraźny charakter i są obchodzone według wskazówek, udzielanych przez kompas. Poprzednio mogły być święcone w formie niejasnej, związane z porą budzenia się wegetacyi lub rozpostarciem całunu śnieżnego nad ziemią.

Pomiędzy temi świętami pierwsze miejsce niewątpliwie zajmuje Nowy Rok.

Jest to najprostsze ze wszystkich świąt astronomicznych. Najpowierzchowniejsza obserwacya musiała człowieka, już w stanie bardzo pierwotnym, naprowadzić na wniosek, iż przyroda systematycznie przebywa pewne fazy obumierania i odradzania się. Kiedy, tj. na jakim szczeblu, powstał dalszy przyczynek w tym kierunku, mianowicie obchodzenie tej dorocznej prawidłowości, nie umiemy wskazać, ale mamy fakty, że już w niższem barbarzyństwie istnieje uroczystość noworoczna i posiada fizyognomię bardzo wybitną: z dniem tym w umyśle pierwotnym wiąże się potrzeba odnowienia całej swojej istoty duchowej i całego otoczenia martwego, o ile to jest naturalnie możliwem. Nowy Rok ma tam doniosłość, której ani śladu nie odnajdziemy w zwyczajach ludów cywilizowanych, acz dochowały się różne przeżytki traktowania tego dnia przez szczepy barbarzyńskie. O tym charakterze rozpatrywanego święta dadzą przewybornie pojęcie stosunki, właściwe Krikom, ludowi Ameryki Północnej.

Krikowie rozpoczynali Nowy Rok powszechnym postem, który przypadał w sierpniu lub lipcu, kiedy świeża kukurydza już dojrzeje. Była to uroczysta chwila w corocznem życiu tego plemienia—darowywania sobie nawzajem wszelkich win i uraz, oraz udzielania zbrodniarzom, z wyjątkiem morderców, amnestyi. Zapominano o kłótniach i waśniach, jako należących do przeszłości. Kobiety symbolicznie przedstawiały tę zmianę usposobienia, rozbijając naczynia zeszłoroczne w kawałki i zastępując stare sprzęty nowymi; mężczyźni zaś naprawiali swoją własność, ażeby wyglądała jak nowo zrobiona. Każda osada w plemieniu świętowała nowy rok niezależnie od reszty, wtedy gdy zboże jej dojrzewało. Z świętem tem Krikowie zespalali pewne idee religijne, bo mniemano, iż dobrodziejstwa, otrzymywane przez ród ludzki z noworocznych plonów, były darami słońca. Symbolem tego źródła urodzajów był ogień, palący się w pośrodku każdej wioski na placu gminnym. Na Nowy Rok niecono go w sposób „żywy," a taki nowy znicz przedstawiał nowe życie, fizyczne i moralne, rozpoczynające się z pierwszym dniem nowej podziałki czasu. Każda rzecz w tym dniu powinna być zrobioną na nowo lub przynajmniej odnowioną; nawet noszony ubiór rzucano na spalenie. Lud ścisłym postem i skruchą przygotowywał się do godnego przyjęcia nadchodzącego roku, uczta zaś gromadna, w której wszyscy uczestniczyli i która kończyła uroczystość, oznaczała, iż wszyscy są dla siebie braćmi.

Nowy Rok odznaczał się podobnym charakterem i u innego ludu czerwonoskórego, mianowicie u Irokéw. Po nadejściu pierwszego nowiu po dniu Nowego Roku sachemowie plemienni zwoływali „święte zbory." Po poście i skrusze, w piątym dniu obchodu, naczelnicy spowiadali się publicznie, mówiąc: „piłem," „grzeszyłem", szczególnie robili to prości wojownicy. Między innemi, brano popiół z ogniska w domu rady plemiennej i rozrzucano go na lud, ażeby wygnać choroby i zniszczyć siłę czarownic. Przypominamy tutaj mimochodem posypywanie głów popiołem w Popielec.

Przytoczyliśmy dwa przykłady, zaczerpnięte ze szczebłów rozwoju, bardzo nizko położonych. W obu razach Nowy Rok wiąże się z ceremonią duchowego odnowienia człowieka. To samo powtarza się w wielu innych punktach globu; nie mówimy: we wszystkich, ponieważ brak materyału nie pozwala nam na postawienie tak ogólnego twierdzenia, chociaż skłaniamy się ku niemu. O ile rozporządzamy faktami, zawsze mamy z tym dniem, w okresie pierwotnym, połączoną ceremonię wypędzania złych duchów. Nadto z Nowym Rokiem zespolone są inne przesądy, utrzymujące się i podczas cywilizacyi. Mniema się np., że dzień ten jest najstosowniejszy do przywdziania nowego ubioru i obuwia, to znowu, że trzeba unikać kłótni i nieprzyjemności, bo co komuś przytrafi się w dobie noworocznej, będzie powtarzało się w ciągu całego nadchodzącego roku: i płacz i szczęście. Goście powinni przynosić upominki, jako nawiązek pomyślności. Jedyna zasadnicza różnica, istniejąca u poszczególnych ludów co do obchodu uroczystości noworocznej, to data, a raczej pora roku, w której święto przypada. Widzieliśmy, iż u Krików obchodzą tę chwilę w okresie dojrzewania kukurydzy. U nas Nowy Rok przypada pół roku wcześniej lub później, stosownie jak będziemy czas obliczali. Każdy lud świętował uroczystość w porze, którą z tych lub innych powodów uznał za najważniejszą. Rozstrzygały w tym razie względy wyłącznie miejscowe. Jest przecież rzeczą możliwą, iż w większości wypadków obchodzono uroczystość wszędzie, a przynajmniej w bardzo wielu punktach w pewnych okresach blizko leżących owych czterech zasadniczych punktów wytyczonych w biegu słońca, zwłaszcza zaś przesilenia zimowego, jako zwiastuna rychłego ocknięcia się sił przyrody. Na to odpowiedzieć zdołają dalsze studya, rozporządzające większą obfitością danych etnograficznych, aniżeli dzisiaj posiadamy.

Ale spostrzeżenia astronomiczne, systematycznie prowadzone, chociażby nawet w takim stopniu jak u wymienionych Kajanów i Zuńczyków, musiały przekonać barbarzyńcę, iż po przejściu pewnej liczby lat pozostaje parę dni nadmiaru. Fakt ten naturalnie musiał zrodzić przesądy i praktyki zabobonne. Dość będzie tutaj wspomnieć o istniejącej u włościan Europy obawie co do dnia przestępnego, zdarzającego się co lat cztery. Dziecko, urodzone w tym dniu, nie ma patrona, dokładniej — ma go raz na lat cztery! Jest ono jak gdyby pokrzywdzone i napiętnowane pewną złą dolą. Z innych powodów, ale ostatecznie w duchu takiej samej filozofii, rozumował i barbarzyńca. Na tem podłożu — poprawiania kalendarza co lat kilka lub kilkanaście, powstały obchody, że tak rzekniemy, kosmiczne, przyczem bierzemy całkowicie na siebie odpowiedzialność za stworzenie tej nazwy. O charakterze złowrogim i strasznym takich okresów nadmiaru dni, niemieszczących się w ramkach pospolitego kalendarza, przewybornie świadczą ceremonie Azteków z Meksyku:

Lud ten poprawiał kalendarz swój w końcu roku 52-go. Chwilę tę uważano za niezmiernie wielką uroczystość. Wieczorem, w przededniu rozpoczęcia „naprawy" czasu, Aztekowie łamali posągi bożków domowych, niszczyli sprzęty domowe, gasili ognie na swoich kominach. Dnie, które upływały od tej chwili aż do zregulowania kalendarza, uchodziły za nieistniejące i nie znajdujące się pod opieką żadnego bóstwa, a zatem za fatalne i niosące z sobą nieszczęście. Był to okres postów powszechnych i pokuty narodowej, podczas którego nie palono ognisk w domostwach, ani w całym kraju nie jedzono gorącego pokarmu. W ostatnim dniu, po zachodzie słońca, kapłani udawali się na pewną górę krzesać nowy ogień dla całego narodu. Zanim tego nie dokonali, kraj cały znajdował się w stanie niepokoju i oczekiwania, że może słońce więcej nie wejdzie, gdyby kapłanom nie udało się wydobyć zarzewia — wszyscy na tarasach domów czekali tej uroczystej chwili.

Nie wiemy, co robiono z niemowlętami, przychodzącemi na świat w takim nieszczęsnym okresie, ani z przychówkiem zwierząt. W każdym razie chyba nie przyjmowano ich z radością. Stawiamy pytanie, choć nie możemy go rozwiązać. Zaznaczamy więc tylko to, do czego jesteśmy upoważnieni przez materyał faktyczny, mianowicie istnienie święta, stworzonego przez wyższą kulturę, zdolną do spostrzeżenia pewnych „nieprawidłowości" rzadszego rodzaju w przyrodzie. Uroczystość to w całem znaczeniu podyktowana przez wiedzę, nie zaś bezpośrednio przez materyalne warunki bytu, jak święta, rozpatrzone w poprzednim artykule. Może do tej samej kategoryi kosmicznej należy inna uroczystość dawnych Meksykanów, świętowana co lat osiem, acz nie jesteśmy w stanie wskazać istotnego związku. Przypadała ona w październiku, względnie w początkach listopada. Poszczono wtedy dni siedem pod pozorem dania odpoczynku wiktuałom. W ciągu lat ośmiu były one męczone przez sól i inne dodatki „korzenne." Naturalnie, jest to tłomaczenie późniejsze. Ale jakiem było pierwotne znaczenie jubileuszu ośmioletniego, na to nie umiemy udzielić odpowiedzi.

Pozostaje nam teraz zatrzymać się nad świętami, związanemi z chwilą przesileń i porównań.

Lud. Krz.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA ANGIELSKA.

Jerzy Moore: *Confessions of a young man*. Londyn, 1897.

Jerzy Moore zajął, prawie bez walki, jedno z pierwszych miejsc między nami" — powiada *Academy* o autorze, który się znajduje na czele najmłodszej generacyi powieściopisarzów angielskich. Wychowany we Francyi, uległ potężnemu wpływowi sztuki tego kraju. Zajmował się naprzód malarstwem, później literaturą. Z początku czuł się tylko Francuzem i dopiero po długim rozwoju odnalazł w sobie Anglika. Historyę tego rozwoju opowiedział w paradoksalnych swych „Confessions." Wyznaje, iż szukając w pamięci, nie może sobie przypomnieć ani jednego mężczyzny lub kobiety z pomiędzy znajomych, którzyby nie przyczynili się do jego dobra fizycznego lub moralnego. A jednak zawiązywał znajomości i przyjaźni bez żadnego wyrachowania; naturalnym zbiegiem okoliczności stosunki tak się układały, iż wszyscy oddawali mu usługi, ponieważ był silniejszym i zdolniejszym od nich. Na możliwe z tego powodu szy-

derstwa czytelnika odpowiada, iż przypadek, a raczej warunki życiowe wysłały na jego drogę tysiące osób na nic mu nieprzydatnych, ale wówczas instynkt nieświadomy oddalał go od nich i zbliżał do innych. „Czyście nie widzieli nigdy — dodaje — konia, który opuszcza naraz jeden kąt łąki, żeby szukać w innem miejscu pastwiska.“

Nie mógł nigdy zainteresować się książką, która nie dostarczała mu pokarmu, potrzebnego w danej chwili dla jego umysłu. Umysł żądał, otrzymywał i przyswajał. Ile spożył, tyle wydał. Później, po upływie pewnego czasu, objawiało się to samo łaknienie i następowało podobne zaspokojenie, zupełnie jak to się dzieje z żołądkiem, dobrze uorganizowanym.

Shelley, który rozpalił jego wyobraźnię młodocianą, który ją oczyścił i długo podtrzymywał, z biegiem czasu stał się dlań obojętnym — nie rzeczą martwą lub nieistniejącą, lecz rzeczą, z której wydobył wszystko, co mógł; wszystko, z czego nie mógł skorzystać, Moore'a nie interesuje. Innym umysłom odmienne strony Shelleya były dostępne. Pszczoły i ćmy ssą soki z tych samych kwiatów, ale inaczej je przetwarzają.

To samo Teofil Gautier. „Mademoiselle Mompin,“ która Moore'a niegdyś upajała swym kultem boskich linij, stała się z czasem, gdy znowu brał książkę do ręki, tak zużytą dla jego myśli, jak pajęczyna wisząca od lat w kurzu zamkniętej i zapomnianej komnaty. Swe dawne zapały i zachwyty młodości odnajduje obecnie, w wieku dojrzalszym, ale odżywają w nim tylko wówczas, gdy myśli o tej części Gautiera, która się teraz stała nim samym. Zbierał przyjaciół tak samo, jak i książki. Jednych i drugie przenikał z tą samą żarłocznością. Rzucał książki, gdy z nich przyswoił to, co jego organizm wymagał — tak samo porzucał przyjaciół, gdy przestawali być mu użyteczni, naturalnie nie w znaczeniu materyalnem, lecz w jak najobszerniejszem. To sprowadzenie inteligencyi do nieświadomego automatyzmu organów, a głównie mózgu, może się wydawać obrazą natury ludzkiej. Moore jednak jest przekonany, iż w miarę tego, jak się wznosimy po drabinie myśli, zbliżając się do największych umysłów, te impulsy nieświadome i tajemnicze postanowienia, zjawiające się niewiadomo skąd w mózgu, stają się coraz częstszemi. „Zaiste, sądzę, że gdyby człowiek istotnie wielki pokazał nam pracę swego umysłu, widzielibyśmy go owładniętego wciąż natchnieniem... Pozostawmy jednak zasady ogólne na uboczu: wystarczy dla objaśnienia tych stronic, gdy powiem, iż instynkty mózgu były zawsze i pozostają wciąż główną i określającą potęgą mego jestestwa.“

Malarstwo porzucił bardzo prędko. Zaczął uważać kontury nimf lub dziewic za kanał zbyt wązki, żeby mógł unieść wysoki i olbrzymi przypływ jego myśli, która dumała o miłości i o śmierci, o rozpaczy życia. Wszystko fermentowało w nim i szukało ujścia z dziwnym uporem. Chciał dać jak najbezpośredniejszy wyraz swej boleści. Znalazł go w literaturze. Śród znajomych swych miał dramaturga ze szkoły Scribe'a. To nasunęło mu myśl napisania komedyi. Wprawdzie nigdy nic nie pisał i nie był biegły w ortografii. Ale cóż to znaczy! Wszak chodzi głównie o znalezienie intrygi. Shakespeare nigdy nie czytał, mając wstręt do nazwisk popularnych. Napisał więc o własnych siłach komedyę „Sprawy światowe“ i pojechał z nią do Londynu. Żaden teatr nie chciał jej wystawić, ale jakiś nakładca wydrukował. Nie miała wcale powodzenia. Moore powrócił do Francyi i oddał się poezyi, Swinburne, Rosetti, Poe i romantycy francuscy całkiem go pochłonęli. Była to okrutna niewola. Młodzieniec nie mógł się wyrwać ze złotych kajdan, w które poeci go zakuli. Rozpoczął szereg opowiadań poetyckich p. t. „Róże północy,“ z których światło dzienne było wypędzone. Oprowadzał fantastyczne swe miłości, przy świetle przyćmionem lampy, po żółtych budnarach, albo też przy dzikim blasku księżyca po lasach stuletnich. Błędny bohater udawał się na sabat czarownic, starych i młodych, które wzajemnie wyrywały go sobie. Była też kurtyzana w pustyni, uwodząca świętego pustelnika.

Autor czuł jednak niewyraźnie, iż jego „Róże północy“ są kwiatami martwemi, którym nie sposób było, nawet za pomocą galwanizmu, nadać pozory życia. Zaś naturalizm Zoli odstręczał Moore'a swą brutalnością. Młody pisarz był już gotów rozstać się z literaturą, gdyż naraz wpadła mu do ręki „Serafita“ Balzaca. Był oszołomiony i zachwycony. Jednym ciągiem przeczytał wszystkie prawie dzieła mistrza i poczuł się na zupełnie pewnej drodze. „Na tej wielkiej skale wybudowałem mój kościół — powiada — i ten wspaniały geniusz uratował mnie od rozbicia, uwolniwszy zarazem od błota gnijącego naturalizmu i od chorobliwej piany symbolizmu... Wzniosłość myśli Balzaca zdaje mi się dosięgać szczytów najwyższych i królestwo jej jest bezgraniczne. Niema namiętności, którejby nie poruszył i, co główniejsza, dał każdej z nich w swej sztuce miejsce równoznaczne temu, które ona zajmuje w naturze; jego przenikliwa sympatya dla życia ludzkiego pozwala mu otaczać szacunkiem przedmioty najbardziej poziome i zdobić je światłem tragedyi.“

Balzac więc, a nie Zola, jest ojcem duchowym Moore'a. Zoli zarzuca brak wyraźnej, odrębnej od tłumu osobowości, a głównie brak stylu. „Niema w jego języku nic, czegobyście nie znaleźli gdziekolwiek, począwszy od Chateaubrianda i kończąc na artykułach reporterskich *Figara*. Zola szuka nieśmiertelności w opisie ścisłym magazynu: gdyby magazyn mógł udzielić nieśmiertelności, to chyba kupcowi, który go założył, a nie autorowi, który go opisał.“ Sztuka nie jest naturą, lecz jej przetworzeniem. Zola nie rozumie, iż należy pozostawić zupełną swobodę organizacyi artystycznej, żeby tworzyła dzieła w swój sposób tajemniczy. Jeżeli człowiek jest istotnie artystą, przypomni sobie, co mu jest potrzebne, opuści, co zbyteczne, ale, jeżeli zbierać będzie „dokumenty,“ przerywa trawienie artystyczne i w rezultacie otrzyma zbiór szkiców luźnych, pozbawionych rytmu i elegancyi syntezy. Moore coraz bardziej przekonywał się, iż sztuka dzieli się jedynie na tych, co mają talent i tych, co go nie mają. A są jeszcze wierzący w wychowanie, w wykształcenie! Są one zgubne dla każdej jednostki, która posiada w sobie iskrę talentu. Wychowanie powinno być dawane subjektom. Osobowość jest wszystkiem w sztuce. „Nic nie szkodzi, jeżeli malujecie źle, bylebyście nie malowali tak, jak inni.“

Toż samo pisarz-artysta. Jedyną jego szkołą powinno być życie. „Wyczuwam ruchy życia, myśli nie wytryskają bez wysiłku, jak pączki na drzewie. Zetknięcie ze światem budzi siłę twórczą; bez niego wszelkie pomysły są bezpłodne. Życie jest rzeką, unoszącą w swych wodach kawały złota. Każdy artysta może go brać tyle, ile mu tylko potrzeba.“

Z takiemi teoryami Moore przystąpił do pisania powieści realistycznych, ale o charakterze osobistym i syntetycznym, naśladując Balzaca. „Kobieta w masce“ i „Miss Fletcher“ zwróciły uwagę na młodego pisarza i wreszcie „Esther Waters“ zdobyła mu sławę pierwszorzędnego artysty. Estera Waters jest zwykłą pomywaczką, brudną, odartą, nieumiejącą czytać. Posługuje w kuchni bogatego sportsmana Barfielda. Wszyscy mieszkańcy jego domu ogarnięci są wraz z nim gorączką wyścigów konnych i wygranej. Autor chce pokazać wpływ zabójczy tej namiętności na wszystkich, którzy z niej lub dla niej żyją. Naprzód nędzny byt dżokejów źle karmionych, żeby mało ważyli: następnie ruinę zarządzającego stajnią, Randala, który, wciągnięty w grę, pomału traci wszystko i zmuszony jest zastawiać meble. Z czasem wyciąga rękę, jako żebrak na Picadilli. Sam właściciel stajen, Barfield, traci majątek i umiera ze smutku. Estera Waters wychodzi za bookmakera Williama, który marnuje zdrowie na polu wyścigowem, wykrzykując w deszcz i niepogodę numery wygrane, a kończy życie w szpitalu dla suchotników. William był zarazem właścicielem szynku i autor pokazuje nam, jak okropne klęski gra wywołuje śród klas ubogich Londynu. Wszyscy jego klienci kończą w sposób tragiczny. Ketley, jeden z zapamiętałych graczów, waryuje. Inni wieszają się lub rzucają do Tamizy. Większość wędruje do domów roboczych.

Jest to ponury obraz prawdy życiowej, pełen scen dramatycznych i humoru, pisany w sposób artystyczny, w języku wybranym, przeniknięty zarazem szlachetną tendencyą i miłością ludzi. Dzieło przesłonięte jest melancholicznymi cieniami, przez które prześwieca jednak promień nadziei. „Estern Waters“ uważana jest słusznie za jedną z ozdób współczesnej literatury angielskiej.

Moore przedstawia biedaków z wielką sympatyą, jakkolwiek pokrywa ją szczelnie impertynencyą artystyczną. Już w „Wyznaniach,“ opisując życie męczeńskie służącej hotelu, w którym mieszkał, Emmy, zakończył opis chłodnym aforyzmem: „Poznaję w tobie tylko jeden ze zwykłych faktów cywilizacyi.“ A jednak pod tem zimnem stwierdzeniem faktu, ileż czujemy zarazem gorącej sympatyi! Musi to jednak być sympatya nader powściągliwa, gdyż w tej samej książce autor woła: „Niesprawiedliwości, uwielbiamy cię, gdyż wszystko, co nas wznosi po nad nędzę życia, jest twoim owocem. Każdy czyn nieśmiertelny jest skutkiem okrutnej niesprawiedliwości; świat tryumfów, odwagi, szlachetnych pragnień był na tobie zbudowany. Cóż to znaczy, iż kilka milionów nędznych Żydów zginęło pod batem Faraonów lub słońcem Egiptu? Dobrze, iż umarli, żebyśmy mogli spoglądać na piramidy i napełnić godzinę życia marzeniem i zachwytem. Oh! na milczenie dworów marmurowych, na cień wielkich kolumnad, na pochód rosłych gladyatorów, wołających przed śmiercią „Ave Cesar!“ — dałbym wiele istnień ludzkich dla uratowania jednego sonetu Baudelaire'a i wszystkich Japończyków dla zachowania jednego rysunku Hokusai. Wszystko wzniosłe w historyi było niesprawiedliwem. Największy syn Anglii — Kromwel — był uosobieniem niesprawiedliwości.“

Stąd Moore wyprowadza wniosek fantastyczny, że jeżeli ludzkość nie porzuci swych fatalnych i bezwzględnych marzeń o sprawiedliwości, to dążyć będzie z siłą niepowstrzymaną ku barbarzyństwu, gdyż nic nie pozostanie oprócz ślepej i nienasyconej masy. Wniosek fantastyczny, gdyż dla odwrócenia tłumu właśnie sprawiedliwość naukowa jest nam potrzebną.

Ostatni wreszcie i najpotężniejszy — po Shelleyu, Gautier i Balzacu — wpływ na Moore'a wywarł Walter Pater. On go nauczył, iż w tym świecie brzydoty można sobie zbudować wyspę „świeżą i piękną, pełną świątyń opuszczonych i godzin pracowitych.“ Przedtem nie podejrzywał nawet, iż taka wizya samotna życia jest możliwą. Teraz przekonał się, że ziemia może być także piękną, jak niebo i że prawidłowość formy, piękno, jest cnotą najwyższą. „Maryusz Epikurejczyk“ był pierwszą książką w języku angielskim, która dostarczyła mu niczem niezepsutej rozkoszy stylu, kombinacyi słów, sprawiającej wrażenie muzyki, subtelnej ironii, pełnej ukrytych domy-

słów, suggestyi innych czasów i innych obyczajów. Pator otworzył mu oczy na skarby estetyczne języka angielskiego. „Dzięki jemu przeszedłem do studyowania autorów dramatycznych z czasów Elżbiety, do tej prawdziwej literatury mej rasy i ostatecznie w niej się oczyściłem.“

Dr. Ł. Winiarski.

PRZEGLĄD MUZYCZNY.

Koncerty Paderewskiego.

Zanim przyłączymy się do ogólnego hymnu pochwalnego, jaki spotkał ... Paderewskiego w Warszawie za jego artyzm w sztuce tonów, rozpatrzmy wpierw jego grę w różnych kompozycyach porządkiem chronologiczno-historycznym.

Najszczytniejszy punkt techniki, *czystej* techniki mieliśmy sposobność poznać w fudze Bacha, następującej po fantazyi chromatycznej.

Fuga, kompozycya zawikłana w kontrapunkcie, pod palcami Paderewskiego staje się nawet dla profanów nietylko przejrzystą i przystępną w usłyszeniu różnobarwnych motywów, lecz także dziełem, które interesuje swą subtelną plastyką i treścią. Wskutek wielogłosowości (kilka naraz melodyj) przedstawia on niezmiernie wielką trudność w uwydatnianiu głównego motywu. Obok niego rozwijają się współrzędne, czasem odmienne bądź w charakterze, bądź w rysunku. Dodajmy jeszcze do tego drugorzędne głosy, jakkolwiek u Bacha są one zarówno ważne, a będziemy mieli niejakie pojęcie o trudności wykonania takiego utworu.

Jakiej to trzeba techniki, niezależności nietylko rąk, lecz i palców! Gdy bowiem jedna ręka uderza silnie w klawisze, druga — przebiega lekko klawiturę, zaledwie kołysząc tony; gdy ostatnie palce, przypuśćmy, prawej ręki ubierają utwór w koronki leciutkie, pierwsze palce tejże ręki, uderzając w klawisze, prowadzą motyw główny. Obok tego trzeba jeszcze, ażeby w każdej ręce prowadzone dwa głosy (motywy) miały odpowiednie cieniowanie; podczas gdy jedna melodya słabnie, druga może wyłaniać się z większą siłą itp.

Takie to trudności fugi Paderewski pokonał i przemówił tonami fortepianu.

Temat tej fugi tak lekko rzeźbiony, przybierając coraz większą ilość motywów wraz z innemi płynął, a raczej wzrastał do wielkiej siły. Tutaj zauważę, że pod koniec fugi, kontra-temat w dolnym regestrze fortepianu uwydatniany z wielką siłą, wskutek użycia pedału został przyćmiony, a wyższe głosy zamiast samodzielnych melodyj, wystąpiły jako dekoracya, może i ładna, ale bądź co bądź nie w stylu Bacha.

Sonetę Beethovena (op. 111) można podzielić na trzy części. Pierwsza (Maestoso) — to jakby potężny prolog do dramatu, zaakcentowany silnie w dysonansowych akordach, rozwiany krótkimi pasażami, łączy się z częścią drugą (Allegro con brio ed appassionato). Dwukrotnie rzucone gromy w dźwiękach unisono przeszywają swą dramatycznością do głębi. Dalej już rozwija się jakby błagalna prośba w wyrazach niezmiernie serdecznych coraz bardziej przyspieszonych. — Trzeba przyznać, że Paderewski w „prologu“ (Maestoso) tej sonaty imponował siłą duchową, uwydatniając różne momenty i rozwijając je zgodnie z nastrojem tego dramatycznego dzieła — Część druga (Allegro...) zaakcentowana namiętnie w oktawach, nie miała w dalszym ciągu tej błagalnej, z głębi serca płynącej prośby. Dwa fakty oznaczone nad nutami kropkami (stacatto) wprowadzają wykonawcę w błąd: nie są to znaki lekkości, ani powiewności, jak to bywa zwykle rozumianem. Takie uwydatnienie kropkami uważać tutaj należy za *serdeczne akcenty* w dramacie życiowym mistrza, który wysnuwał obrazy cierpienia ludzkości. Część ostatnia tej sonaty niezmiernie trudna w oddaniu odpowiedniego nastroju. Po skończonym dramacie jest to jakby pieśń w spokoju i ciszy pięknej natury, a nieubłaganej i postępującej przeznaczonym trybem.

Takie wrażenie wywiera „Arietta“ (Adagio molto, semplice e cantabile) i następne waryacye niemal w ciągłych pasażach, płynących jak fale morza, po nad któremi z błogim spokojem brzmi pieśń chwały.

Najbardziej zrównoważonym w technice i w interpretacyi były koncerty Schumana (a-mol) i Chopina (f-mol) z towarzyszeniem orkiestry.

W tych dwóch koncertach Paderewski stanął na szczycie swego artyzmu. Po za tom nic wspanialszego być nie może. W tych dziełach zawładnął i techniką i myślą obleczoną w formę dźwięków.

Takie skończone obrazy muzyczne trzeba tylko słyszeć. Nie będę też tych dzieł — dobrze zresztą znanych, rozpatrywał szczegółowo, bowiem w każdym frazesie lub też w większej części, jak zarówno i w całości Paderewski roztaczał artystycznie skończone i zrównoważone w najsubtelniejszych barwach wspaniałe obrazy.

(D. n.).

Ig. Płocki.

O PRAWDĘ.

Ofiara prawdy.

Telegraf przyniósł wiadomość z Wiednia, że austryackie ministeryum oświaty nie odnowiło kontraktu z profesorem Jagiellońskiego uniwersytetu Baudouinem de Courtenay, a jako przyczynę podano agitacyę polityczną wśród Słowaków na Węgrzech i „posądzenie przez niektóre dzienniki galicyjskie o autorstwo broszury p. t. „Fałszywe fasye.“

O ile pierwsza część tej wiadomości jest oburzającą, o tyle druga komiczną. Pomijam już legendę, nie wiadomo gdzie wyrosłą, o owej rzekomej agitacyi politycznej, ale sama myśl o tem, że prof. Baudouina trzeba „posądzać“ dopiero o autorstwo jakiejkolwiek broszury, samo przypuszczenie, że ten człowiek, tak fanatycznie prawdomówny, tak po bohatersku odważny, mógłby ukrywać zdanie swoje w jakiejkolwiek sprawie, dla każdego, kto go zna jest tak wysoce zabawnem, że pobudzić może do śmiechu nawet w chwili przygnębienia po przeczytaniu owej depeszy.

„Posądzenie“ to jest zresztą bardzo dobrze uzasadnionem: prof. Baudouin umieścił na karcie tytułowej wspomnianej broszury całe swoje nazwisko. Tchórzostwo tak zgadza się właśnie z jego charakterem, jak szczerość z... naturą stańczyka.

Utraciła więc wszechnica Jagiellońska profesora, który może być chlubą i ozdobą każdego uniwersytetu w Europie. Tem gorzej dla uniwersytetu krakowskiego. Prof. zaś Baudouin, nawet jeśli nie przyjmie innej katedry, a prawdopodobnie niejedną zaofiarują uczonemu, który jest pierwszym lingwistą słowiańskim, przysporzy zapewne nauce niejedną jeszcze cenną pracę. Nie będąc kompetentnym w sprawach lingwistyki, sądzić mogę o nich tylko na zasadzie referatów i notatek bibliograficznych. Otóż widzę, że ten wyjątkowo młody „emeryt“ wydał już po opuszczeniu Jurjewa, tj. w ciągu lat 6, nie mniej i nie więcej tylko 10 specyalnych rozpraw w językach polskim, niemieckim, włoskim itd., a zapewne oprócz tego niejeden artykuł w pismach fachowych. Jest to więc jeszcze siła naukowa w pełni rozwoju.

Dziś, gdy społeczeństwo galicyjskie, a właściwie partya stańczykowska wymierzyła sobie sprawiedliwość i pozbyła się człowieka, który śmiał rzucać kamienie w jej zabagnioną sadzawkę, warto się przyjrzeć bliżej zbrodniom potępionego. Z pierwszym zarzutem załatwimy się krótko:

Wiadomo, że Węgrzy, wywalczywszy sobie swobodę i szerokie przywileje, przyznawali prawo korzystania z nich tylko sobie, ciemiężyli natomiast srodze wszelkie inne narodowości, którym przypadło mieszkać w obrębie ich granic politycznych, a więc przedewszystkiem Słowian.*) Pomimo bezwzględnego ucisku proces wynaradawiania nie szedł pomyślnie. Tu i owdzie roztliły się ogniki samowiedzy narodowej, a pomiędzy innymi i wśród drobnej garstki Słowaków. W r. z. obchodzili oni uroczyście w Św. Marcinie turczańskim otworzenie swojego domu narodowego i do nich w gościnę wybrało się z Zakopanego kilka osób, a w ich liczbie i prof. Baudouin.

Z powodu wycieczki tej **) o charakterze zresztą zupełnie turystowskim, a ożywionym tylko pewną, łatwo zrozumiałą sympatyą dla pobratymców, powstała bajeczka o rzekomej agitacyi politycznej, aresztowaniu prof. Baudouina itd. Że pisma węgierskie narobiły przy tej okazyi dużo krzyku, jest to naturalnem, ale że powiększały hałas niektóre pisma polskie jest dziwniejszem.

O wiele poważniejszym jest drugi zarzut autorstwa broszurki, której prawdziwy tytuł zresztą brzmi: „Jeden z objawów moralności oportunistyczno-prawomyślnej.“ Chcę się nad nim dłużej zatrzymać dlatego właśnie, że w łamach i z tego pisma stała się prof. B. krzywda. Zdawałoby się, że obrzucony sowicie błotem przez całą prawie prasę galicyjską autor broszurki znajdzie uznanie przynajmniej w organie tak niezależnym, jakim jest *Prawda.* Tymczasem korespondent krakowski, p. Caeca, obszedł się z nim dosyć niełaskawie: umieścił najpierw o broszurze wzmiankę bardzo pobieżną i nieścisłą, (nr. 12 z r. z.) a gdy prof. B. sprostował niektóre niedokładności (w nr. 16), uderzył w niego tym tak dobrze znanym argumentem (nr 18), że „dobrze jest zamiatać swoje podwórko, ale nikt nie niesie swoich śmieci na pokaz sąsiadom.“ Wiadomo, że porównanie jest najlichszym sposobem dowodzenia. Zawiodło też ono pana Caeca na manowce: „Najbardziej zapalony fizyolog nie robi doświadczeń na mózgu swojej matki, ani profesor anatomii nie demonstruje na trupie swojej żony.“ Bardzo słusznie, ale rękoczyny te byłyby tylko zwykłemi doświadczeniami, a tymczasem rozprawa prof. Baudouina jest chirurgiczną terapią, leczeniem za pomocą śmiałego cięcia, a zapewnić mogę, Caeca, że w wypadkach niecierpiących zwłoki, gdy nie ma ubocznej pomocy, lekarz sam operuje nieraz własne dziecko lub żonę.

„W karceniu powinna być miłość, powinien być ból.“ Czy ich nie ma w broszurze, o której mowa — zobaczymy później.

Zamiast rozwodzić się szeroko nad zawartością broszury prof. Baudouina, sądzę, że będzie właściwiej przedstawić ją czytelnikom w streszczeniu, a właściwie w kilku wyciągach. Ocenią oni w ten sposób najlepiej ogrom zbrodni autora.

Punktem jego wyjścia jest przyjęte ogólnie w Galicyi fałszowanie „fasyi.“ Zasadza się ono na tem, że lokator na żądanie właściciela domu podpisem stwierdzić musi w księgach, że komornego płaci tylko ½, lub ⅓ sumy rzeczywistej. Gospodarzom chodzi tutaj o „oszczędność“ na podatku dochodowym, który istotnie w Austryi dochodzi do potwornej wysokości. „Właściciel domu“ — powiada prof. B. — oświadcza ci w sposób mniej lub więcej uprzejmy, że

---

*) Na stosunki te pomiędzy innymi przed laty już zwrócił uwagę przedwcześnie zmarły Maks Gumplowicz: powracał on do nich wciąż w rozmowach prywatnych, odczytach w wiedeńskiem Ognisku i artykułach. Praca jego zamieszczona niegdyś w *Ateneum* p. t. „Magyaryzacya Słowian,“ rzuca dużo światła na tę sprawę.

**) Opisał ją szczegółowo w *Kuryerze Warszawskim* jeden z uczestników, p. A. Sygietyński.

ostatecznie będziesz musiał podpisać, bo inaczej zostaniesz wyrzucony, nie znajdziesz przytułku nietylko w całem mieście, ale nawet w całym kraju. Udajesz się tedy do przyjaciół i znajomych i prosisz ich o wyjaśnienie. Przyjaciele i znajomi pouczają cię, że gospodarz twój ma zupełną słuszność, że „najporządniejsi“ ludzie tutaj mieszkający podają stale fałszywą fasyę i że się tem nikt a nikt nie gorszy. Przekonawszy się tedy, że w Galicyi możesz mieszkać tylko jako kłamca i krzywoprzysięzca, już bez szemrania podpisujesz fałszywą fasyę i stajesz się, jeżeli nie czystej krwi, to przynajmniej czystego sumienia Galicyaninem. Chociaż istnieje kilka rodzajów władz obowiązanych bądź to do przeszkadzania nadużyciom i naruszaniu prawa, bądź też do pociągania do odpowiedzialności za grzechy popełniane, ale ani urzędnicy skarbowi nie mają prawa moralnego do zarządzenia dochodzeń administracyjnych w sprawie „fałszywej fasyi,“ bo sami muszą ulegać temu prawu zwyczajowemu, ani prokuratorowie i sędziowie, bo gdyby stawili jej czoło, nie mogliby mieszkać w Galicyi, z wyjątkiem chyba gmachów rządowych. Jeżeli nędzarz ukradnie z głodu kawałek chleba — do więzienia z nim. Baba wiejska, przekonana o to, że przyniosła na targ fałszowane masło, zostaje skazywaną na 14 dni aresztu i 100 złr. grzywny, a przecież popełniła tylko „fałszywą fasyę,“ wprawdzie „maślaną,“ nie podatkową, ale zawsze tylko „fałszywą fasyę.“ Wobec takiego chronicznego złodziejstwa błędną i małą wszelkie sprzeniewierzenia w magistratach, towarzystwach ubezpieczeń itp. instytucyach. Są to tylko paroksyzmy ostre, a jak wiadomo, ostra choroba daje się uleczyć nierównie łatwiej, aniżeli chroniczna. Proszę nie sądzić, jakoby mi przytem chodziło głównie o szkodę, jaką skutkiem fałszywej fasyi ponosi państwo; nierównie bowiem większą szkodę ponosi dane społeczeństwo. Państwo ma samo dosyć środków do bronienia swoich interesów, ale potępić muszę fałszywą fasyę dlatego, że demoralizuje społeczeństwo do szpiku kości, że jest nigdy niewysychającem źródłem gangreny moralnej, zgnilizny i korupcyi powszechnej. Na takim gruncie nierównie bujniej, niż gdzieindziej wyrasta cały rój objawów, dla których wspólną nazwą kłamstwo i oszustwo. Z tak preparowaną moralnością publiczną doskonale godzi się moralność karciarzy, giełdziarzy, fabrykantów świętości i faryzeuszów. Nie mając nadziei, żeby ktokolwiek inny zwrócił uwagę na te stosunki, zdecydowałem się sam wystąpić; zdecydowałem się zaś głównie dlatego... że mi żal. Żal mi wszelkiego rodzaju niewolników i nieszczęsnych ofiar „vis majoris.“ Żal mi indywiduów zaniedbujących wyznanie za pieniądze, a czujących w głębi duszy, że dopuszczają się podłości. Żal mi publicystów i „uczonych,“ handlujących swojemi „przekonaniami,“ ale jeszcze nie zupełnie pozbawionych sumienia. Żal mi... takich, co, czując całą ohydę pewnego czynu, popełniają go jednak z musu. Przykro mi też jest myśleć że tym ludziom z natury dobrym i szlachetnym mogę sprawić ból swojem wystąpieniem. Ale co robić, jeżeli bolesna operacya niezbędną jest do wyleczenia chorego.“ (Może jednak p. Cacca dojrzy w tem karcenu „ból i miłość?“)

Za ten krzyk oburzenia, za ten wybuch nie dającej się niczem stłumić prawości prof. Baudouin traci katedrę w Krakowie. I bardzo słusznie. Na wszechnicy Jagiellońskiej obok słodkich hrabiów i tylu giętkich w karku dyplomatów nie ma miejsca dla tego człowieka, nieumiejącego wchodzić w żadne kompromisy z sumieniem, dla tego charakteru nieugiętego i niezłomnego. Nie będąc profesorem uniwersytetu krakowskiego, Baudouin pozostanie i nadal chlubą nauki polskiej, dumą naszego społeczeństwa i jasnym promieniem w życiu tych wszystkich, którzy kiedykolwiek mieli szczęście go poznać.

Dr. Mieczysław Kaufman.

W D A L I.

Kijów. Postanowienie nowej budowy kolei żelaznej kosztem skarbu od Kijowa do Kowla przez stacyę kolei Poleskich, Sarny, jak utrzymuje *Wiek* jest następstwem dawno zamierzonego przez ministeryum komunikacyi skrócenia linii magistralnej Warszawa-Kowel-Kijów. Początkowo projektowano poprowadzenie tej linii na stacyę kolei Poleskich dystansu Wilno-Równe, Dąbrowicę, odległą o 76 wiorst od Łunińca a 105 od Równego, obecnie zaś ze względów ekonomicznych skierowano projektowaną linię bardziej na południe przez stacyę Sarny, odległą od Równego, Żabinki i Wilna o 100 wiorst. Kolej więc ta będzie prawie równoległą dla obecnie istniejącej linii kolei Południowo-Zachodnich pomiędzy Równem i Kijowem, jednak odległość, z uwagi na wygięcie łuku kolei teraźniejszej, skróci między Kijowem a Kowlem o kilkadziesiąt wiorst. Zarząd kolei Południowo-Zachodnich przystępuje do stopniowej budowy drugich torów na odnogach północnych. Obecnie tor podwójny do Koziatynia dobiega do stacyi Rożyszcza między Równem a Kowlem. Na początek więc tor podwójny doprowadzony będzie do Kowla, następnie do Brześcia, poczem w miarę środków do Białegostoku i Grajewa, gdyż w tym kierunku ruch towarowy na Królewiec coraz bardziej się wzmaga. Dystans Równe-Grajewo tych kolei miał być początkowo, gdy projektowano utworzenie okręgów kolejowych, włączony do warszawskiego okręgu kolejowego; obecnie zaś zamiaru tego zaniechano, postanowiono bowiem w systemie administracyi kolei skarbowych niełączenia ich w okręgi, lecz administrowania stosownie do magistralnych kierunków i ciążenia ruchu osobowego i towarowego. Dlatego to właśnie administracya dystansu kolei Petersburskiej z Warszawy do Wilna z odnogą wierzbołowską i kolejami zaniemeńskiemi pozostała przy zarządzie kolei Peterbursko-Warszawskiej w Petersburgu, a nie w Warzawie. — *Birż. Wied.* piszą: „Jak wiadomo zgodnie z opracowanym już projektem prawa, instytucye ziemskie mają być wprowapzone w guberniach zachodnich z pewnemi ograniczeniami. Lecz w artykule osobnym, do projektu dołączonym, mieści się zastrzeżenie, że na wypadek, jeżeli po wprowadzeniu ziemstw w kraju zachodnim, doświadczenie najbliższej przyszłości wykaże możliwość dalszego rozwinięcia instytucyj ziemskich, prawo powinno upoważniać ministra spraw wewnętrznych do czynienia wniosków w komitecie ministrów: w przedmiocie tworzenia zgromadzeń ziemskich powiatowych w tych powiatach gubernij zachodnich, w których stanowczą przewaga śród właścicieli ziemskich żywiołów, bezwarunkowo oddanych państwowości rosyjskiej, nastręcza ku temu możność; w przedmiocie uchylenia względem powiatów tych ograniczeń, dla gubernij zachodnich ustanowionych, których konieczność usprawiedliwiać już nie będzie; wreszcie w sprawie zastosowania do ziemstw w tych powiatach, zarówno jak i w całych guberniach, ustawy instytucyj ziemskich z r. 1890. Obecnie projekt wspomina tylko o pięciu takich powiatach: Gródeckim i Wieliskim w gub. Witebskiej, Czerkaskim i Kijowskim w gub. Kijowskiej, Czauskim w gub. Mohylowskiej.“

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Według projektu nowego kodeksu cywilnego, mają zajść pewne zmiany w paragrafach, dotyczących własności autorskiej. Autorom, zamieszkałym na zewnątrz państwa, przysługiwać będzie prawo wydania swych dzieł w tłomaczeniu w terminie lat trzech od daty ukazania się książki; tłomaczenia będą ich własnością przez lat 10. Prawo to obchodzi polskich autorów tłomaczonych na rosyjski i rosyjskich, tłomaczonych na polski. Równocześnie z kodeksem cywilnym jest także opracowywany karny.

— Sprawa ks. Bilakiewicza będzie sądzona przy drzwiach zamkniętych.

— Według pogłosek, monopol trunkowy ma być wydzierżawiony w Królestwie Polskiem konsorcyum prywatnemu.

— Ministeryum spraw wewnętrznych zatwierdziło ustawę Towarzystwa międzynarodowego opieki nad ubogiemi i choremi dziewczętami i sierotami wyznania rzymsko-katolickiego w Petersburgu.

— Powstaje Tow. Filharmonia na zasadach spółki udziałowej pod kierunkiem p. Młynarskiego. Zbuduje ono własny gmach z salą koncertową. Kontrakt spółki już podpisany.

Szkoły. Departament opracowywa program szkół lekarskich, niższych felczerskich, akuszeryjnych i weterynaryjnych. Kończący takie szkoły będą mogli praktykować tylko po wsiach.

— Ma być otwarty w Odesie instytut technologiczny.

— W warszawskim okręgu naukowym utworzono 12 posad inspektorów szkół ludowych, oprócz tego utworzoną została posada inspektora szkół m. Warszawy.

— W Petersburgu utworzyło się Towarzystwo krzewienia wykształcenia realnego, mającego na celu zakładanie szkół realnych i kursów ogólnych.

— W Odesie powstanie niebawem szkoła ogrodnicza prywatna pod zarządem p. Rotego.

Ofiary. Dochód ze swych koncertów w kwocie 7,826 rb. Ignacy Paderewski przeznaczył na następujące cele dobroczynne: na wpisy dla studentów 1.000 rb., dla uczniów konserwatoryum 500, na wpisy dla uczniów 500, na wpisy dla uczniów szkoły Mittego 300, dla członków orkiestry teatru 1,000, na czytelnie bezpłatne Tow. dobr. 1,000, dla redakcyi *Zorzy* na wydawnictwa ludowe 1,000, dla Tow. opieki nad ubogiemi matkami 500, Tow. ociemniałych przy ul. Piwnej 300, dla chórów 300, na Osady rolne 300, na Przytulisko 300, na Kolonie letnie 300, dla ubogich 556 rb. Pozostawione sobie do dyspozycyi 3,671 rb. — na rzecz kasy literackiej.

— Pp. Wilhelm i Józef Laudanowie złożyli dla gminy starozakonnych na cele dobroczynne 4,000 rb.

— Ks. Stojakowski zapisał Tow. dobroczynności 38,000 rb. na rzecz przytułku dla chłopców przy ul. Freta.

Konkursy. Z ośmiu winiet tytułowych, nadesłanych na konkurs *Tygodnika Ilustr.*, przyznano nagrody trzem: Autorami prac są pp.: Jan Holewiński, St. Popowski i p. Eleonora Spieszyńska.

— Tow. lekarskie w Warszawie ogłasza konkurs na najlepszą pracę oryginalną, wydrukowaną w języku polskim od 1 stycznia 1897 r. do 31 grudnia 1900 r., z dziedziny nauk lekarskich lub pomocniczych, w zastosowaniu do medycyny. Nagroda im. Tytusa Chałubińskiego w sumie 240 rb. ma być wypłacona w r. 1901. Dzieła należy przesyłać na ręce sekretarza stałego Towarzystwa.

Zdrowie publiczne. Drugi szpital kolejowy ma być urządzony w Warszawie w gmachu b. szkoły technicznej przy kolei Terespolskiej.

— *Przegląd farmaceutyczny* donosi, iż wszystkie apteki mają być wykupione na rzecz państwa.

— Szpital Św. Rocha zostanie przeniesiony na ul. Książęcą; w ten sposób przybędzie 200 łóżek. Stary będzie sprzedany.

Prasa. W Łodzi zaczęło wychodzić *Czasopismo lekarskie*.

Wystawy i zjazdy. W gmachu panoramy przy ul. Karowej ma powstać stała wystawa obrazów treści popularnej.

— Drugi zjazd dentystów odbędzie się pomiędzy 22 a 27 lipca r. b. w Petersburgu.

Sprawy włościańskie. Komisya do roztrząsania stosunków włościańskich w Królestwie Polskiem, utworzona pod przewodnictwem gubernatora radomskiego, ma się zająć według zapewnień *Now. Wr.* — rozpatrzeniem środków poprawy bytu małorolnych, oraz zastanowić się nad pytaniem, czy nie czas już teraz przekształcić instytucye komisarzów włościańskich (rozszerzenia ich pełnomocnictwa). Obecnie komisarze prawie wyłącznie zajęci są sprawami służebnościowemi pomiędzy właścicielami a włościanami, sprawami o wynagrodzenie włościan za służebności, regulowaniem szachownicy gruntowej itd. Pod każdym innym względem na bieg życia włościańskiego większy ma wpływ czynny naczelnik powiatu, pomimo że ciąży na nim mnóstwo innych obowiązków. „Bardzo być może, że komisya zajmie się też i oświatą włościan i systemami ich gospodarki.“ Pismo zwraca uwagę na doniosłość sprawy bezrolnych w Królestwie i na podstawie prac komitetu statystycznego przytacza, iż w Królestwie w r. 1891 liczono włościan bezrolnych 849,318 os. Liczba ta w czasie ostatniego spisu mieszkańców prawdopodobnie dosięgła miliona. Bezrolni stanowili w r. 1891 w gub. Warszawskiej 21% ogółu lu-

dności, w Płockiej 19,3%, Kaliskiej 18,9%, Suwalskiej 13,5%, Lubelskiej 11,5%, Siedleckiej 10,6%, Piotrkowskiej 9,8%, Kieleckiej 7,9%, Łomżyńskiej 7,8%, Radomskiej 7,7%.

Koleje i komunikacye. Kolej z Jabłonny do Zegrza jest skończona, ale nie zostanie otwartą z powodu braku taboru.

— Kolejka Wilanowska za spółki udziałowej przemienia się na Towarzystwo akcyjne.

Przemysł i handel. W Chełmicy (pow. Lipnowski) powstaje nowa cukrownia z kapitałem zakładowym 450,000 rb.

Komisya, wyznaczona do ułożenia nowej ustawy wekslowej, ma swoją pracę już na ukończeniu.

— Z d. 1 lutego r. b. zaczynają obowiązywać taryfy zbożowe na przewóz od niektórych stacyj kolei Nadwiślańskich, Południowo-Zachodnich i Riazańsko-Uralskiej do Gdańska i Królewca.

— Ogłoszono ustawę Tow. muzeum handlu i przemysłu z wystawą stałą w Kijowie.

Odpowiedzi Redakcyi.

A. H. „Vergleichende Grammatik der indoeurop. Sprachen" Brugmanna.

Młodemu. Przytoczone zwroty są w języku naszym możliwe.

Panu W. N. w Łodzi. My takich melodramatów nie zamieszczamy.

Pani Ewie O. Jest łatwość wierszowania, jest rzewność uczucia, ale to tworzy raczej w wierszach Pani wymowną deklamacyę, niż poezyę.

Panu Jerzemu W. „Institut international de Bibliographie" w Brukselli udzieli chętnie wszelkich wskazówek. Wydaje on systematycznie *Bulletins de l'Institut de Bibl.*, poświęcone rozbiorowi wszelkich kwestyj, związanych z umiejętnością biblioteczną. Co do klasyfikacyi dziesiętnej, wydał on *Classification decimale, tables generales abregées*, Brukselli, 1897; oraz szereg podobnych wskazówek w poszczególnych działach wiedzy, np. *Classification decimal, Sociologie, tables methodique et alphabetiques.*

Dzieło dr. J. Dallemagne'a

Człowiek zwyrodniały,

które dołączaliśmy zeszytami w dodatkach Prawdy, wyszło w osobnej książce. Cena ogromnego tomu (742 str.) wynosi tylko dwa ruble bez przesyłki.

Redaktor i wydawca dr. fil. A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 15 Января 1899 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.